Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta
1 egz. 30 groszy

# Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH
Rok VII. Niedziela, dnia 20 sierpnia 1939 r. Nr. 34



# Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

— Ja wcale tego zamiaru nie mam — zaprzeczała Lou z miejsca.

— Ja go jednak wyczuwam. Otóż, jeżeli pani uwzięła się już na to, proszę mi wytłumaczyć, czemu to przypisać, że np. u górskich plemion Tybetu, u Garrasów na granicy chińsko-indyjskiej, u Baigów w Godwanie, u Nairów na południowym krańcu Indyj, i podobno również u Eskimosów i Aleutów praktykuje się na szeroką skalę wielomęstwo? A więc nie wielożeństwo, nie haremy dla kobiet, ale odwrotnie? Moim zdaniem, tylko tym, że kobieta nie potrafi być wierną jednemu mężczyźnie, jeden mężczyzna nie może jej wystarczyć i nie wystarcza. Znam te sprawy z moich podróży wśród tych ludów i właśnie to najbardziej zniechęciło mnie do małżeństwa. Za dużo zastanawiałem się nad zagadką duszy kobiecej.

— Ale cóż nas mogą obchodzić ludy napół dzikie, skoro my jesteśmy ludźmi białymi, kulturalnymi, cywilizowanymi i chrześcijaninami.

— Zaraz, zaraz, milutka panno Lou, możemy i na ten temat coś nie coś powiedzieć. Wyraziła się pani, że jesteśmy ludźmi chrześcijańskimi. All right! A czy pani wie co najtęższe mózgi tego środowiska wychodzące, głosiły o kobiecie i małżeństwie w ogóle ?

— Nie ogłaszali chyba takich herezyj, jak pan?

— Być może, ale uważali oni małżeństwo za zło konieczne. I tak np. św. Tertulian w jednym ze swoich pism powiada: „Niewiasto, powinnabyś zawsze chodzić w żałobie i w łachmanach, ze łzami w oczach, aby ci zapomniano, żeś ty zgubiła rodzaj ludzki! Niewiasto, ty jesteś wrotami piekła!" Hieronim głosi: „Małżeństwo jest zawsze występkiem; co najwyżej można je wybaczyć i uświęcić".

Gdzie indziej Orygines powiedział: „Małżeństwo jest czymś profanującym i nieczystym, jest to środek rozkoszy zmysłowych".

— A widzi pan, dotyczy to tylko wypadków, gdzie chodzi o zmysły, o nadużycie rozkoszy zmysłowych.

— Zaraz, zaraz, przytoczę pani jeszcze i inne cytaty, które są całkowicie po mojej stronie. Tak zatem św. Paweł w liście do Koryntian pisze: „Odpowiadam na wasze pytanie: dobrze jest człowiekowi nie dotykać kobiety... Małżeństwo jest stanem poślednim; żenić się jest dobrze, nie żenić się lepiej".

— Ależ pan tym zbija sam swoje twierdzenia! — zawołała Lou. — Wszakże św. Paweł wyraźnie powiada, że żenić się jest dobrze.

— Ale nie żenić się lepiej. A każdy człowiek wybiera zawsze to, co jest dla niego lepsze, gdyby nawet wybierał spośród dobrych rzeczy. Jeżeli jednak pani jeszcze wątpi w prawdę powyższych słów, to może utwierdzić ją w tym, co mówię, powiedzenie św. Augustyna: „Bezżenni — powiada on — będą błyszczeli na niebie jak świetne gwiazdy, a ich rodzice będą podobni do gwiazd słabo świecących".

— Te cytaty jeszcze mnie nie przekonywują wcale, aby bezżeństwo było czymś naprawdę profanującym. Gdyby to bowiem było prawdą, wszyscy ci, którzy się pożenili żenią w tej chwili i mają zamiar wejść w związki małżeńskie na całym świecie, czyniliby rzeczy niegodne. A tak przecież nie jest. Wszystkie religie szanują i czczą prawie macierzyństwo, a to jest bezpośredni skutek właśnie małżeństwa.

— Ha, cóż mieli ludzie począć? Musieli to jakoś rozwiązać wbrew mądrym naukom rozmaitych ojców kościoła, wielkich pisarzy i nauczycieli. Po wtóre, nie zawsze jest dobre dla ucznia to, co wpaja w niego nauczyciel. Nauczyciel bowiem może być doskonałym, a jego uczeń skończony dureń. A że zaś ja nie chcę zasłużyć na to miano, więc jestem usposobiony antymałżeńsko i pragnę świecić na niebie, jako gwiazda pierwszej wielkości. Zgadzam się z wszelkimi mądrymi ludźmi, którzy powiedzieli, że małżeństwo jest złem koniecznym i nie mam wcale ochoty kosztowania słodyczy hymenu. Poza tym, takie opinie o kobietach, jakie pani zacytowałem, nie są tylko właściwością pisarzy chrześcijańskich, o, bynajmniej. Toż i w indyjskim prawie Manu przeczytać może każdy, kto ciekawy, takie verba veritatis o niewieście: „Przyczyną hańby jest niewiasta, przyczyną nienawiści jest niewiasta, przyczyną istnienia doczesnego jest niewiasta: przeto niewiasty należy unikać".

Lou naburmuszyła się i nie odpowiedziała już na to. Była zła na tego wielkiego Anglika, o którym nie wiedziała nawet, czy mówi on prawdę, czy też najzwyczajniej drwi z niej w tej chwili. Była również zła i na samą siebie, że zaczęła tę rozmowę i doprowadziła do własnej klęski. Tak, nie ulegało wątpliwości, kapitan ją pobił. Jego było na wierzchu. I najgorsze, że Lou, maleńka Lou, nie wiedziała co mu na to odpowiedzieć. W końcu, sama nawet nie wiedząc jak to się stało, zaczęła szybko poruszać powiekami, a spod nich potoczyły się niebawem srebrzyste łzy, które pociekły po policzkach i rozbiły się na dwóch okrągłych i wydatnych pagórkach piersi .

— Lou, moja maleńka lady, czemu pani płacze? — zawołał miękko i jakoś dziwnie ciepło Fawcet. — Mój Boże, tak mi przykro...

Lou spojrzała na niego poprzez zalane łzami oczy i spróbowała się uśmiechnąć, ale jej się to nie udało. Miała w tym momencie tak rzewną i tak miłą minkę, że kapitan nie mógł się powstrzymać i przypadł do niej, porwał jej drobne dłonie i zaczął obsypywać je pocałunkami, jakby to



Zamiast ptaka na kapeluszu można i małpkę nosić.



Brzozy w słońcu.

wszystko, co wygłosił jeszcze przed chwilą, nigdy nie miało miejsca.

— Lou, m-lle Lou, niech pani nie płacze, błagam... Proszę się uspokoić, bardzo, bardzo o to proszę.

— Jest pan... jest pan... bardzo niedobry... — wystękała w końcu Lou. — Tyle mi pan przykrości zrobił, że, że...

I nie umiała skończyć.

Fawcet był na prawdę w kłopocie. Pierwszy raz dopiero widział, że kobieta może płaczem swoim tak bardzo wzruszyć mężczyznę, a że to stało się z jego przyczyny, więc było mu tym więcej i nieprzyjemnie i przykro. Nie wiedział, jak ma przemawiać do tej małej sroczki, aby ją uspokoić. A to pół-diable w dalszym ciągu roni łzy i zerka na niego spode łba, jakby chciała sprawdzić, jakie też wrażenie wywiera na niego ten jej rzewny płacz.

Fawcet w bezradności swojej wyszedł na przód dżonki, następnie wrócił znowu z powrotem pod zasłonę, kręcił palce u rąk i wyglądał jak dzieciak skarcony przez nauczyciela.

W końcu odezwał się znowu, ale głosem już nie drwiącym, ale poważnym i mocno zmartwiony:

— Proszę mi powiedzieć, la petite Lou, czy bardzo się gniewa pani na mnie?

— Czyż nie mam o co? — odpowiedziała obcierając mokrą buźkę z łez.

— Ależ o co, na Boga? Ach, wy kobiety jesteście wszystkie jednakowe: gdy nie umiecie nas, mężczyzn, przekonać argumentami, chwytacie się najsilniejszego, jakim rozporządzacie — łez. Czy to ładnie?

— A cóż miałam powiedzieć? Może się cieszyć, gdy mnie pańskie słowa bolały? Może panu jeszcze przytakiwać?

— Ech, nie, ale mogła pani powiedzieć na końcu, że nie zgadza się z moimi wywodami i wtedy wszystko byłoby w porządku.

— Wcale nie byłoby w porządku. Tak nie można mówić, kapitanie. Pan wie, że takie powiedzenia mogą bardzo zaboleć każdą kobietę, a jednak mówisz je.

Teraz Fawcet naprawdę nic nie rozumiał. Rozmowa schodziła na tory zupełnie niewłaściwie. Dlatego postanowił ją przerwać, mówiąc:

— Zresztą nie mówmy już o tym, Lou.

— Dlaczego? A właśnie, że mówmy, mówmy o tym.

Anglik wzruszył ramionami, jakby wzywał niebiosa na świadka, jak bardzo nielogiczną jest ta mała istota. A ta mała i czupurna niewiastka stała teraz naprzeciw niego z chrapkami szybko jej latającymi, niby koń bojowy, który usłyszał marsza wojennego.

— Wyjdźmy na słońce, tutaj tak duszno...

Gdy usiedli na dziobie dżonki, słońce chyliło się już gdzieś daleko nad górami U-tai-szan i chłodem powiewało.

— Niech się pani okryje, bo zaczyna wiać chłodem.

— Najwyżej się mogę przeziębić i tyle. A zresztą, cóż to pana może obchodzić? Przecież nienawidzi pan kobiety!

— To jest nielogiczne, moja kochana panno Lou. Ja bynajmniej kobiet nie nienawidzę, owszem, bardzo je nawet lubię, tylko nie chcę się żenić i wiązać z jedną z nich do śmierci.

— Dlatego właśnie nie powinno pana obchodzić, czy ja się przeziębię lub nie.

— Przeciwnie, obchodzi mnie to dlatego, bo pani jest moim towarzyszem niedoli, jest pani kobietą białą i...

— I cóż więcej? Czy przyznaje pan łaskawie, że mam także duszę? A może pan i tego nie przyznaje? Podobno był taki osieł, Mahomet się nazywał, czy jak mu tam było, że zaprzeczał istnieniu duszy u kobiety.

— Rzeczywiście, coś takiego powiedział kiedyś Mahomet, ale ja nie godzę się z nim w tym punkcie, chociaż św. Tomasz z Akwinu powiedział, że „kobieta jest chwastem bujnym, jest człowiekiem niedoskonałym..."

— Znowu pan zaczyna?

— Stop, już nie, przyrzekam, że już nie zapomnę się, nie zacytuję żadnej mądrej uwagi o kobiecie. Nawet przeciwnie, przyznaję wbrew św. Tomaszowi, że pani bynajmniej nie jest bujna, ale za to jest doskonała.

— Wzrost nie stanowi o mądrości. Czasem wielki drągal jest głupszy od małej kobiety, a uchodzi za mądralę tylko dlatego, bo tak go nazywają mężczyźni.

— Yes, madame — zgoda w tym punkcie na pani opinię. No, ale skoro wyszliśmy tutaj, aby się na słońcu porozumieć, zacznijmy rozmowę od tego, co pani chciała mi powiedzieć.

— Ja? Wcale nie miałam panu nic do powiedzenia.

— Jakto? Wszakże sama pani zaproponowała, abyśmy wyszli z namiotu na powietrze.

— Możliwe, nie pamiętam.

Fawcet był tym wszystkim mocno ubawiony i w tej chwili wzniósł w tragicznym ruchu ręce do nieba:

— Panie! Ty widzisz i nie grzmisz?

— Słuchaj pan, kapitanie — zaczęła znowu Lou, nie zwracając wcale uwagi na ostatnie słowa Fawceta.

— Słucham panią z jak najbardziej zbożnym skupieniem i uwagą.

— Przecież to jest nie do uwierzenia, aby pan, taki chłop, jak lew, nie potrafił kochać żadnej kobiety na świecie. Nie uwierzę w to nigdy.

— Cóż ja na to poradzę, łaskawa panno Lou.

— Nie, to być nie może. I myśli pan, że ja nie domyślam się, co się za tym wszystkim kryje? Oho, nie mnie brać na takie plewy.

— Proszę mi zdradzić, co to takiego jest, czego się pani domyśla?

— Pan na pewno zostawił gdzieś w Anglii kobietę, której poprzysiągł wierność dozgonną i dlatego teraz bronisz się wszelkimi sposobami przed pokusą. No, co, czy nie zgadłam?

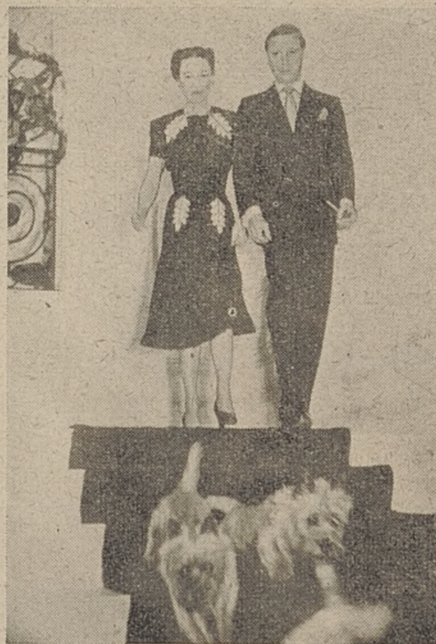
— Nie, nie zgadła pani. Nie zostawiłem nikogo, nawet rodziny. Jestem sam na bożym świecie i wcale się tym nie przejmuję. Dla mnie wszędzie jest Anglia, gdzie mieszka choćby dwóch Anglików.

— Słyszałam o czymś podobnym. Powiadają nawet, że Anglicy noszą nie tylko swój dom, ale całą ojczyznę z sobą.

— Tak o nas mówią obcy, pani, i nie mylą się, jak mi się wydaje.

— Ale mimo to nie wierzę w pańskie słowa.

— Cóż ja na to poradzę.



**Księstwo Windsoru zatrzymali się na krótki pobyt w Paryżu.**



**105 par małżeńskich zawarło swe związki na olbrzymim boisku w Montrealu w Kanadzie.**



Praktyczny schr.n prz.ciwgazowy zbudował s.b.e pewien właściciel domu w Anglii.

Lou wydęła grymaśnie małe usteczka i zapatrzyła się na wody kanału, nieruchome prawie i ciche. Milczała długo, nie patrząc wcale na kapitana. Kiedy zaś odwróciła się od niego, spojrzała mu mocno w oczy, jakby chciała o coś zapytać, ale następnie widać się rozmyśliła, bo powiedziała krótko:

— Jest pan nieznośny uparciuch!

— Czy dlatego, że nie chcę przyznać miłości i małżeństwa jako zbawienia ludzkości?

— Tak i w ogóle...

— Madame Lou, proszę się już na mnie nie gniewać. Przyrzekam pani, że jeżeli kiedykolwiek przyjdzie na mnie taka choroba, że będę się musiał zakochać, to będzie tą kobietą tylko... pani....

Oczy Lou zapaliły się jakimiś ognikami, których nie była w stanie zgasić.

— Nie wierzę panu wcale.

— Daję pani na to jak najbardziej uroczyste słowo honoru człowieka uczciwego. A gdy dżentelmen daje podobne słowo, można mu wierzyć.

— Teraz panu wierzę ,kapitanie.

Uściskali sobie dłonie i tym przypieczętowali to najdziwniejsze przymierze, jakie kiedykolwiek w tej części świata zostało zawarte.

Kiedy noc zapadła, umocowali dżonkę przy brzegu, zapalili latarnię dla ostrzeżenia innych dżonek, które mogły powziąć szalony pomysł wybrania się w drogę w nocy i wyszli na brzeg. Su-Feng zajął się pitraszeniem kolacji, a oni oboje, siedząc przy ognisku i czekając na jedzenie, patrzyli daleko przed siebie i milczeli. Tego wieczoru prawie nie rozmawiali już więcej z sobą. Posiliwszy się wytworami kuchni Su-Fenga, poszli do swoich przepierzeń i położyli się spać.

Wczesnym rankiem wyruszyli znowu w drogę i koło południa zobaczyli daleko przed sobą przystań na przecięciu kanału cesarskiego i rzeki.

— Halo, moja narzeczono in spe! — wołał Fawcet wesoło do szałasu, gdzie znajdowała się Lou — dopływamy do brzegu! Przystań rybacką już widać.

Lou wyszła z wnętrza namiotu i spojrzała w stronę, gdzie wskazywał kapitan. Istotnie — widać już było przystań na rzece.

— Teraz pytanie, co z sobą zrobimy? — zagadnął znowu Fawcet. — Czy będziemy czekali na okazję, którą, Bóg raczy wiedzieć, kiedy się zdarzy, czy też pojedziemy dalej aż do Kaifeng lub Buai-Kingu.

— Zorientujemy się na miejscu. Może szczęście będzie nam sprzyjać i trafi się jakiś lepszy środek lokomocji, niż ta dżonka. Podróż w górę rzeki na tym żółwiu trwałaby chyba do Bożego Narodzenia.

Kapitan zgadzał się z tym, ale że nie wiedział, co począć w tych warunkach, przeto postanowili czekać na okazję lub przypadek już na przystani.

Z trudem przebili się przez setki dżonek i zawinęli do brzegu w miejscu nieco wolniejszym. Tutaj wysiedli na brzeg i do kapitana zbliżył się Su-Feng. Przez cały czas podróży agent nie odzywał się nawet do Anglika i maleńkiej Lou, ale teraz zapragnął poddać swoją myśl, która przyszła mu do głowy. Powiedział więc:

— Panie kapitanie, ja pójdę na wywiad i może dowiem się cokolwiek, co dla nas byłoby dobre. Może spotkam kogo z naszych ludzi?

Fawcet zgodził się na to i Su-Feng niebawem zniknął w tłumie chińskim. — Wrócił po dwóch godzinach dopiero, przyprowadzając jakiegoś Chińczyka.

— No, cóż tam, Su-Feng? — zagadnął przybyłego kapitan.

— Wszystko dobrze, kapitanie. O cztery kilometry stąd, w stronę Czang-te czeka na pana samochód, który zawiezie nas do stacji. Są rozkazy, aby pan natychmiast jeżeli się odnajdzie, przyjechał do Szanghaju.

— Jak to, jeżeli się odnajdę?

Su-Feng skinął na przyprowadzonego Chińczyka.

— Żu-ning, opowiedz panu wszystko, jak się sprawa przedstawia — rozkazał.

Przybyły Chińczyk zaczął opowiadać, wprawdzie trochę chaotycznie i dla samego siebie w wielu punktach niezrozumiale, ale wszystko to było najzupełniej jasne dla Fawceta. A więc: władze w Szanghaju miały już relacje o wypadkach, jakie się zdarzyły w Pekinie i Tien-Tsinie i nakazały wszystkim agentom, znajdującym się w okolicy tych dwóch miast, szukać wszędzie kapitana, o którym domyślano się tylko, że musi zapewne żyć, gdyż nie dostał się w ręce japońskie. Dla wszelkiej pewności rozstawiono nawet w kilku punktach samochody na wypadek, aby w razie odnalezienia tak cennej zguby, przewieźć go natychmiast do najbliższej stacji kolejowej lub portu i dostawić do Szanghaju. Sprawa z relacji Żu-ninga, okazywała się tak pilna, że Fawcet ani chwili się nie namyślał po wysłuchaniu jej. Polecił zabrać natychmiast manatki panny Lou i pod przewodnictwem Żu-ninga ruszyli w drogę. Po drodze kapitan żartował sobie z Lou, że jeżeli ustanie na drugim lub trzecim kilometrze, to zostawi ją na miejscu na żer Chińczyków.

— Wcale się tego nie boję i sama dam sobie radę — odparła na to rezolutnie panna Merier. — W gorszych bywałam już opałach i nic mi się nie stało.

— Czy być może? A ja myślałem, że pani przyjechała tutaj prosto spod czułej opieki mamusinej.

— A pan chyba prosto od Zalusów, gdzie pana uczono bon-tonu.

Fawcet roześmiał się radośnie, był teraz w doskonałym humorze i nie gniewał się wcale na docinki Lou, która mu ich nie szczędziła. Później okazało się, że Lou jest doskonałym piechurem i bynajmniej nie męczy się drogą.

W dwie godziny później odnaleźli oczekujące ich od paru dni auto, zapakowali się do niego wszyscy czworo i maszyna pomknęła do najbliższej stacji kolejowej, oddalonej od miejsca postoju samochodu o 100 do 150 kilometrów najfatalniejszych bezdroży.

XI.

## TANIEC NA WULKANIE

Japończycy zdobyli wprawdzie Szanghaj, ale nie czuli się bynajmniej dzisiaj w nim pewniejsi, niż wtedy, kiedy szturmowali do jego murów. Doskonale zorganizowana akcja dywersyjna chińska w samym Szanghaju dzień w dzień dawała o sobie znać



Amerykanki do konnej jazdy n'e używają wys-k ch butów, l cz specjalne trzewiki i długie spodn e pod bne do t. zw. „salon - breeches" oraz marynarki o męskim kroju.

strzałami rewolwerowymi, zamachami bombowymi i minami. Żołnierze japońscy padali od kul prawie codziennie na ulicach miasta i to zarówno w dzielnicy tubylczej, jak i we wszystkich dzielnicach europejskich. W ostatnich dniach siedmiu terrorystów chińskich wdarło się przemocą do pałacu bogatego mandaryna i ministra spraw zagranicznych rządu nankińskiego, Czeng-Lu i zasypali go strzałami. Mandaryn padł trupem na miejscu, a napastnicy ulotnili się przez nikogo nie poznani i nie zatrzymani.

Czeng-Lu należał do tego typu mężów stanu chińskich, którzy zadziwiającą potrafią godzić z sobą najsprzeczniejsze nawet rzeczy. A więc: należeć do komisji międzynarodowej dla zwalczania handlu opium i heroiną, a jednocześnie prowadzić na olbrzymią skalę handel tymże samym opium. Uważać się za Chińczyka, głosić nienawiść i zemstę „znienawidzonemu najeźdźcy" japońskiemu i zarazem piastować wysoki urząd ministra w rządzie stworzonym przez Japończyków dla własnych celów. Popierać tajnie wysiłki marszałka Czang-Kai-Szeka i na zebraniach rady ministrów rządu nankińskiego podpisywać wszelkie przeciw niemu zarządzenia, podsuwane przez władze wojskowe japońskie. Posyłać pieniądze na utrzymanie biedoty chińskiej i równocześnie handlować niewolnicami do lupanarów i niewolnikami do Indyj Holenderskich. Był to więc typowy generał-taryfa w pełnym znaczeniu tego słowa.

Po jego śmierci, oprócz jego najbliższej rodziny i przyjaciół takiego samego jak i on autoramentu, nie żałował go nikt z prawdziwych Chińczyków. Ale prawie oficjalną żałobę ogłosił rząd nankiński, a Japonia podniosła krzyk oburzenia i rzucała wymysły pod adresem Anglii.

Zamach na Czeng-Lu miał miejsce na terenie koncesji angielskiej. Porządek i bezpieczeństwo w tej koncesji należały w całości do Anglii. Japonia więc wszystkie swoje żale i pretensje skierowała ku Anglii. Pewnego dnia pełnomocnik rządu japońskiego zjawił się w gubernatorstwie angielskim z oficjalną wizytą i miał przeszło godzinę rozmowę z gubernatorem. Przy rozmowie tej nie był obecny nawet osobisty sekretarz i doradca angielski.

Dziennikarze mieli codziennie świeże wiadomości i nawet jeden drugiego podejrzewał o to, że konkurent umyślnie wchodzi w porozumienie z terrorystami, aby mieć z góry wiadomości o mającym nastąpić zamachu. Morton, który po ostatnich przejściach znowu wrócił wraz z innymi do Szanghaju, pracował teraz za czterech i rzadko kiedy zaglądał do barów. Czasem tylko wpadał do Thompsona i już od proga informował go o najświeższych wydarzeniach, o których jak mniemał, przyjaciel jego nie był poinformowany. A gdy się okazało, że Thompson nawet już nadał telegram z tą wiadomością, wzdychał ciężko i dla kurażu wypijał trzy koniaki pod rząd.

Po zamachu na Czang-Lu'a i po nadaniu telegramu do swego pisma, zaszedł po drodze do Thompsona, zamierzając zabrać go do jakiegoś baru, aby trochę poszaleć. Ale w mieszkaniu zastał przyjaciela tak zgnębionego, że nie mógł się powstrzymać od pytania:

— Cóż tam znowu? Czy napadła cię po raz wtóry choroba miłosna?

— Dajże spokój, Rene — machnął ręką Thompson — ty o niczym innym nie możesz myśleć, jak tylko o miłości, chociaż sam nie kochasz się i wystarczają ci mało apetyczne Chinki, a w ostatnim czasie Japonki.

— Cóż ci jest? Mówże! Ominęła cię jaka wiadomość? Spóźniłeś się z czem? Śmiej się z tego. Jedna spóźniona wiadomość nie stanowi nigdy o powodzeniu pisma. Zresztą o to niech się starają ci panowie, którzy siedzą przy biurkach w centralnych redakcjach.

— Nie, to całkiem co innego, René.

— Mianowicie?

— Ojciec mi umarł przed sześciu tygodniami, gdyśmy to jeszcze byli w Pekinie. Teraz dopiero dostałem wiadomość od matki, która prosi mnie na wszystko, aby koniecznie przyjechać choć na miesiąc do domu dla uporządkowania spraw spadkowych, bo sama rady sobie dać nie może.

— Rzeczywiście, to wielkie zmartwienie. I powiedz, Fred, kiedy rodzice żyją, to zdaje się nam, gdy już jesteśmy dorośli i pracujemy na siebie, że nie są oni nam potrzebni. Dopiero, gdy któreś z nich umrze — powstaje w naszym życiu luka, której niczym nie zapełnisz. Tak, tak, to rzeczywiście przykre. No, ale cóż, od śmierci nikt nie wymiga się. Żebyś nawet miał wszystkie skarby ziemi do rozporządzenia — wszystko na nic — gdy przyjdzie na ciebie kolejka, musisz iść, gdzie cię wołają, nie ma rady.

— Jakże ty byś mi radził, Rene?

— Z czym?

— Z tą jazdą do Europy.

— Ha, cóż, jechać by trzeba. Pocieszysz matkę, uporządkujesz sprawy majątkowe i w ogóle.

— Musiałbym uprzednio zawiadomić telegraficznie wydawnictwo i prosić o urlop i przysłanie zastępcy. Redakcja nie może zostać bez przedstawiciela na tutejszym terenie, który ostatnio staje się niezmiernie ciekawym dla całego świata. Tu bowiem jest gwóźdź polityki międzynarodowej i tutaj rozstrzygnie się przyszły porządek światowy.

— Więc zrób to. Jeżeli nadasz zaraz depeszę jako pilną, jutro dostaniesz odpowiedź i będziesz wiedział, czy możesz jechać lub nie.

— To prawda, ale widzisz... jest druga jeszcze sprawa...

— Jaka?

— Sprawa z Danielą.

— Ach, tak... No, cóż, w tym miejscu — braciszku, jak mi się zdaje — przegrałeś na całym dystansie.

— Dlaczego tak mówisz? Czy wiesz co?

— Nic nadzwyczajnego. Daniela bawi się w Szanghaju i szaleje w najwyższym high-life'ie. Wiem nawet, że kręci się tam koło niej monsieur Somain z gubernatorstwa. Wiesz, ten przystojny blondynek z zawsze uśmiechniętą twarzą. Ja mam wrażenie, że oni tam już doszli do jakiegoś porozumienia nawet.

— Skąd to wiesz? — zapytał głucho Thompson, zaciskając pięści.

— Nie jestem wszak ślepy. Wystarczy zauważyć pewne rzeczy dwa razy, aby za trzecim określić ściśle, co w trawie piszczy.

— To niemożliwe, Daniela nie może tak postępować. Przyrzekła mi, że spotkamy się w wieczór sylwestrowy tego roku w Paryżu i jestem przekonany, że dotrzyma słowa.

— Jak to, o ile dobrze wiem, mieliście się spotkać w dniu 1 października?

— Sam wiesz, że termin ten nie mógł być dotrzymany nie z naszej winy.

— No, niby tak. Ale słuchajno, Fred, cóż tam między wami zaszło wtedy, kiedy my to z nieboszczką Fusu-Ko zostawili was w gaolianie, a sami udaliśmy się do opuszczonej wioski chińskiej, gdzie ja zalałem się na pestkę? Coś jej ty takiego powiedział, że tak bardzo zmieniły się między wami stosunki?

— Nic jej nie powiedziałem.



## Zachód

*Słońce się pali ogniem na wodzie*
*(po miękkim mule, jak czapla brodzę!).*
*Szepcą coś trzciny, szepcą szuwary,*
*staw cały płonie krwawym pożarem.*
*Błękit i złoto! Zieleń i szkarłat!*
*smutek się ukrył w wierzbowych garbach..*
*..Siadłam na brzegu i chłonę blaski,*
*nade mną tańczą błękitne ważki.*
*Wieczór do ucha szepce wierzbinie:*
*niedługo płomień na wodzie zginie,*
*niedługo żaby zaczną rechotać,*
*a z wody wyjdzie nocna tęsknota".*

*„Jadwiga Limba"..*

— Nic? Doprawdy nic? Ech, człowieku kochany, w to, to już ja nie uwierzę. Panna Berthier nie mogła tak ni z tego, ni owego oziębnąć nagle do ciebie. Tam musiało na pewno coś między wami zajść.

— Hm... jakby ci to powiedzieć... Pamiętasz ty, René, tego trupa w samotnym domku nad Jang-Tse?

— Tego Japończyka, który wykonał suppuku?

— Tak.

— Owszem. Ale cóż to ma wspólnego...

— Właśnie ma. Ot, po prostu w rozmowie z Danielą wyraziłem pogląd, że ona miała pewien udział w tym samobójstwie.

— Cudownie! Wspaniale! Piramidalnie! Szkoda, żeś jej nie powiedział, iż to ona własnoręcznie wypatroszyła tego pigmejczyka. Ach, ty zakuta pało! Ach ty rybi synu dziegciem smarowany! I któż to kobiecie, choćby na miała w czymś podobnym udział, wspomina o takich rzeczach?! Nie, dalibóg pęknę ze śmiechu! Ha, ha, ha! Hi, hi, hi!...

Morton śmiał się naprawdę głośno i hucznie, aż szklanka na stoliku zadźwięczała.

— Z czegóż się znowu tak śmiejesz? — obruszył się Thompson.

— Nie, daj mi wytchnąć... Ha, ha, ha!.. Ależ to kapitalne! Powinieneś ten wynalazek własnego pomysłu opatentować i wydrukować w kilkudziesięciu setkach tysięcy egzemplarzy opis konwersacji z kobietą, w której się jest zakochanym. Brzmiałoby to mniej więcej tak: On, ona. Pustka. Gaolian. Rozmawiają. Ona wzdycha. On mówi: wiesz co, kochana, podejrzewam, że ojciec twój był katem w Londynie, Paryżu, Berlinie, Warszawie (zależnie skąd panna pochodzi), a ty jesteś trucicielką pierwszego stopnia. Ona: Ach, panie! On: Czego się gniewasz gejszo w piętę drapana. Azaliż to nieprawda?

— Przestań, René! — huknął Thompson tak energicznie, że René rzeczywiście zamilkł na moment, a następnie, spoważniawszy, powiedział:

— Że Daniela nie chce cię znać po tym wszystkim, co jej powiedziałeś, temu ja się wcale nie dziwię, ale najmocniej jestem zdziwiony tym, że nie wyrżnęła cię po tym wszystkim w papę. Czy ty wiesz, kim jest Daniela?

— Mniej więcej.

— Nie mniej więcej, nie mniej więcej, ale odpowiedz ściśle na moje pytanie.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— O Danielę, oczywiście.

Thompson wzruszył ramionami.

— Widzę, że nie masz o tym zieloniutkiego wyobrażenia, zatem słuchaj: jest Francuzką urodzoną w Rosji. Jakiś czas bawiła w Paryżu na studiach. Później przyjechała tutaj do swego wuja, monsieur Haillcourt'a, gubernatora koncesji francuskiej w Szanghaju. A Haillcourt — to figura i człowiek diamentowej próby. I wiedz jeszcze o tym, zakuty łbie anglosaski, że Daniela nie uczyniłaby nigdy nic takiego, co nie byłoby zgodne z honorem Francuzki i czego nie wymagałoby od niej li-tylko dobro naszej ojczyzny.

Thompson był naprawdę zdziwiony tymi informacjami Renégo. Dotychczas uważał, że Daniela Berthier, owszem, jest Francuzką, nawet dosyć wykształconą Francuzką, która przyjechała tutaj dla niewiadomych na pewno celów i dopiero później znalazła się w kręgach wywiadu. Że zaś wywiad francuski na tutejszym terenie działał solidarnie z angielskim i częściowo amerykańskim — Thompson nie miał jej tego tak znowu bardzo za złe. Ale że zdarzył się niedawno ten mord... To już była sprawa druga. Fred, jako Anglik, rozumiał jedno: zabić człowieka wolno, ale tylko na wojnie. W czasie pokoju i w dodatku zabijać skrytobójczo — to była zbrodnia. Daniela wprawdzie nie zamordowała, ale przyczyniła się jednak do tego. Były to wprawdzie tylko subtelności jego sumienia i każdy inny na jego miejscu nie brałby tego pod uwagę, ale Thompson nie tylko przywiązał do tego znaczenie niemal podstawowe, ale w dodatku obciążył poniekąd kobietę, którą kochał. To było właśnie, jak się teraz po wyjaśnieniach Mortona przekonał, głupstwo największe i wprost nieprzebaczalne.

— Słuchajno, René, czy ty mówisz to wszystko poważnie czy też mam to brać jako wykwint twojej bujnej wyobraźni?

— Ja w podobnych rzeczach ani nie żartuję, ani nie bujam, rozumiesz — odrzekł na to bardzo poważnie René.


Prezydent związkowy Szwajcarii Etler, przemawia podczas święta narodowego.

Thompson zamyślił się. Zrozumiał, że znalazł się naraz nie tylko w matni myślowej, ale także i w matni uczuciowej, a nie widział żadnego z tego wyjścia. Przynajmniej chwilowo. Nie chciał się nadto radzić Rénego, gdyż ten, jak spostrzegł, uraził się nieco jego wyznaniem i stracił nawet trochę na swej tak zawsze wesołej i zawadiackiej minie. Po namyśle jednak odezwał się znowu, jakby wyrażał żal:

— Szkoda, że to wszystko się stało, René, wtedy — tam, w tym gaolianie.

Morton zmiękł po tych słowach przyjaciela. Ostatecznie, przyjaciół człowiek nie liczy na kopy, ale na jednostki nawet bez zera z tyłu. A ci dwaj ludzie, w ciągu swego dość długiego pobytu na Dalekim Wschodzie przeżyli tyle złego i dobrego wspólnie, że nie należało teraz dopuszczać, aby ta przyjaźń miała się nagle urwać. W dodatku, Fred i tak miał poważne zmartwienie z powodu śmierci ojca i żądania matki, aby przyjechał do kraju. Dlatego odezwał się tonem już mocno złagodzonym w brzmieniu:

— Co tam, jakoś się to pewnie wygładzi. Nie martw się. Przy najbliższej okazji powiem Somain'owi, żeby sobie dał spokój i nie wchodził ci w paradę. No, Fred, podnieś głowę do góry. Zobaczysz, że jeszcze wszystko będzie najlepiej. Nie martw się, chłopie. Nie ma tego złego, co by na lepsze nie wyszło. W życiu ludzkim złe i dobre kręci się jak w kalejdoskopie. Nigdy nie wiesz, jaki obraz zobaczysz. No, Fred...

Thompson, pod wpływem tych słów, takich miękkich i dobrych, podniósł głowę do góry, ale twarzy rozpogodzić nie mógł.

— Naprawdę, René, bardzo głupio się dzisiaj czuję — powiedział — zwłaszcza po tym... co mi powiedziałeś.

— Daj spokój rozpamiętywaniu, Fred. Widzę, że kochasz dalej Danielę i nie możesz o niej zapomnieć?

Fred skinął potakująco głową.

— Ha, nic dziwnego! Tyle przykrości spotkało cię przez tę miłość, że ona wykrystalizowała się w tobie, jak diament w ogniu. Prawdziwe uczucie oczyszcza się dopiero w ogniu prób życiowych. Tak, tak, kiedyś i ja przechodziłem coś podobnego.


Rozdzielanie masek przeciwgazowych dla rezerwistów armii angielskiej.

Może nie w tej formie, jak ty dzisiaj, ale podobnie, podobnie... Patrz, Fred, widzisz te siwe włosy? Prawda, one mnie mocno postarzają. Wyglądam na starszego pana. A ileż ja mam naprawdę lat?

— Powiedziałeś, że dobiegasz pięćdziesiątki.

— I na tyle lat wyglądam, a w rzeczywistości mam — trochę więcej nad czterdzieści, dokładnie: czterdzieści dwa. To jeszcze nie starość,prawda? A jednak dla mnie to już starość. Życie nieraz bywa bardzo bolesne... Ale co tam! Ubierz się, idziemy do baru. Trzeba poszaleć trochę po tych wszystkich perypetiach, jakie przechodziliśmy w ostatnich czasach.

— Przyznam ci się szczerze, René, że nie rad wychodziłbym gdziekolwiek. Pragnę napisać obszerniejszy list do matki, pocieszyć ją...

— Zrobisz to jutro. Dzisiaj nie chcę zostawiać cię samego w mieszkaniu. Będziesz się gryzł, rozmyślał, wylewał żółć żalu i do niczego w tych swoich rozważaniach nie dojdziesz. Tymczasem w barze zapomnisz o wszystkich złych stronach życia. Kto wie, może będzie tam i Daniela? Spotkacie się, porozmawiacie, wiele spraw wzajemnych wyjaśnicie... Ja wam pomogę. Gdyby się zjawił Somain — odwołam go na bok i wygarnę mu takie pater noster, że odczepi się raz na zawsze od Danieli.

Fred, który rzeczywiście nie miał ochoty na wychodzenie gdziekolwiek z domu, po ostatnich słowach przyjaciela zmienił prawie natychmiast zdanie i jakaś rzewna radość, nadzieja, że może naprawdę zobaczy gdzie Danielę dzisiaj — napełnia mu serce. Nie widział jej prawie od chwili przybycia do Szanghaju po ostatnich przejściach od Pekinu do Pao-tingu.

— Ha, skoro mnie tak namawiasz — zdecydował się w końcu Thompson — w takim razie chodźmy.

Dziennikarz przebrał się szybko w smoking, zarzucił płaszcz na ramiona i wyszli. Nankin-road błyszczał tysiącami różnobarwnych świateł, jakby blaskami swymi chciał zagłuszyć i zaćmić nędzę chińską, która sąsiadowała z tą elegancką dzielnicą o krok.

Po drodze dziennikarze wzięli riksze i pojechali do najwytworniejszego lokalu hotelu „Imperial", prowadzonego przez konsorcjum francusko-angielskie. Nawet i tutaj widoczny był alians „wielkich demokracyj zachodu".

Gdy się znaleźli na obszernej sali, René, jako prawie stały bywalec tutaj, zajął się zdobyciem stolika, w czym pomocni mu byli aż czterej boye restauracyjni, dwaj kelnerzy i maitre d'hotel. W końcu udało mu się jakoś wywalczyć stolik i wnet usadowili się przy nim. Morton kazał zamrozić wino i następnie zamówili dwie wytworne kolacje.

— Możemy sobie dzisiaj pozwolić nawet na grubszy wydatek — mówił Francuz — gdyż w czasie głodówki naszej na pustyni pekińskiej oszczędziliśmy moc grosza, nie



Fot. Ludomiła Nickowska, Inowrocław

**NAD NOTECIĄ**

potrzebując wydawać w ciągu kilku dni jednego centima.

A później znowu:

— O, patrz, idą ekscelencje japońsko-chińskie. Widzisz tego grubego tłuściocha w trochę przyciasnym na niego smokingu? To głośny Szan-Szu-Liang.

— Słyszałem coś o nim — odpowiedział Thomwson, przyglądając się pilnie sześciu mężczyznom, którzy właśnie wkraczali na salę. Trzej z nich byli Chińczykami, a ściślej mówiąc chińskimi generałami - taryfami, trzej inni Japończykami. Po niskich aż do ziemi ukłonach służby restauracyjnej, poznać można było, że to nielada muszą być ryby.

— Ach, człowieku! — wykrzyknął znowu Francuz. — Gdybyśmy dzisiaj mieli milionową część tego, ile ten chiński grubas przepuścił dotychczas przez swoje ręce, nie potrzebowaliśmy nadstawiać karków za marne grosze na Dalekim Wschodzie tylko po to, aby snobom, zwanym czytelnikami naszych gazet, dać codziennie porcję sensacyjnego żeru w dzienniku.

— Znasz go?

— Szan-Szu-Lianga? Jak własne pięć groszy w kieszeni. Naprzód był zwyczajnym bandytą, przywódcą bandy, która porywała ludzi, handlowała opium, kupczyła żółtymi duszami; szachrował i kradł, gdzie się dało i jak popadło. Potem został generałem. Oczywiście! Inaczej być nie mogło. Zaczął więc uprawiać politykę na szeroką stopę i wnet stał się ekscelencją, mandarynem, człowiekiem wziętym i głośnym. Wprawdzie kilka razy zdradzał to jedną, to drugą stronę, zależnie, gdzie więcej dawali dolarów, a w końcu przeszedł do Japończyków i dzisiaj stanowi personę gratę, ekscelencję pana ministra od finansów. Czy wiesz, ile mu ten urząd przynosi miesięcznego dochodu? Rozpaczliwe wprost miliony.

— Przy systemie podatkowym i urzędniczym, jaki tutaj istnieje, nie jest to wcale dziwne — zauważył Thompson.

— Naturalnie! Tutaj przecie każdy urząd trzeba kupić za grube pieniądze. Więc kiedy taki urzędnik, co zapłacił kilka lub kilkanaście, a nie rzadko nawet paręset tysięcy dolarów, dorwie się do władzy, wyciska tak biednych poddanych, aż krew sika.

— Życie jak w bajce! Zając boi się lisa, lis boi się wilka, wilk lwa. Wieża Babel! Cudowna drabina Jakubowa hierarchii, zbudowana po to jedynie, aby ten na dole dźwigał cały ciężar góry.

— Nie dzieje się to jedynie w Chinach, mój Fredzie. Życie współczesne jest już tak urządzone na całym świecie, że ten na dole trzyma całą górę na sobie, wszystkich wielkich i możnych tego świata. Jeżeli więc dół się buntuje, jeżeli poszczególne jednostki lub grupy ludzi wyłamują się spod solidarności, podstawa, podmurówka tego gmachu osłabia się tym samym. Należy więc trzymać mocno dół w karbach, inaczej cała budowa runie. A tego nie chcą za żadną cenę ci, co znajdują się na szczycie.

— Przyjdzie może jednak czas, że trzeba będzie odwrócić to wszystko.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

HALINA SZRANTÓWNA

1)

# Koleżanki

POWIEŚĆ

I.

## W KLASZTORZE

— Zula! Jak nie zamkniesz zaraz jadaczki, to cię całkiem po prostu obiję...

— Boże święty! jaka ta Iza nudna! Kuje, kuje i biednemu człowiekowi zipnąć nie pozwoli. My z Lalą mamy właśnie ochotę rozmawiać i ani nam się śni ciebie słuchać.

— Iza ma rację — ujęła się Wanda — poto tu siedzimy wieczorami, żeby się uczyć, a nie żeby trajkotać jak katarynki.

— Acha! a ty najdroższa co robisz? Czytasz sobie romansik i też się nie uczysz, a do nas się wtrącasz.

— Czytam, bo jestem już zbyt zmęczona, żeby się uczyć, ale drugim nie przeszkadzam, tak jak wy!

— Cicho bachorkes, tu nie heder — zawołała wysoka, czarnowłosa dziewczyna wstając i rzucając z impetem książki o ławkę. — Ja tam już się uczyć nie mogę, wszystkie relacje pomieszały mi się w głowie i jest mi już wszystko jedno, czy jutro zryję, czy nie.

— Wiecie, ja zupełnie nie wiem, co zrobię z tą trygonometrią — odezwała się płaczliwie Lala — ja nic, ale to nic nie umiem. To diabelski wynalazek ta matura. Iziu, moja droga, czy będziesz mogła jutro się ze mną pouczyć? Czuję, że pojutrze Pomidor mnie będzie pytał.

— Ach, teraz to „Iziu moja droga", ale jak ja proszę, żebyście z Lulą były cicho, to mogę gadać jak do ściany...

Lala podbiegła do Izy, objęła ją za szyję i ucałowała serdecznie.

— Moja kochana, nie gniewaj się, już będziemy cicho jak myszy, tylko ucz się jutro ze mną, bo jak znowu zryję z matymy, to mnie Pomidor do matury nie dopuści.

Zaglądała tak prosząco w oczy swymi szafirowymi jak u lalki ślepkami i tak była miła ze swą strapioną różową buzią i wygiętymi w podkówkę ustami, że Iza pocałowała ją również i obiecała uczyć się z nią na zajutrz po spacerze. Zresztą Iza nigdy nie umiała nic nikomu odmówić.

Wanda złożyła zwolna książkę, wstała i przeciągnęła się lekko.

— Już czas spać — powiedziała swym miłym, niskim głosem. — Nie mogę powiedzieć, żebym się wiele nauczyła... Taka jestem śpiąca...

Składały nieco sennie książki i zeszyty. Iza podeszła do mizernej blondynki, która zatkawszy uszy palcami, uczyła się w drugim końcu klasy, nie wiedząc nic, co się wokoło dzieje.

— Irka, idziemy spać; dosyć już tego kucia.

— Co, już? Niemożliwe! Ja jeszcze nic nie umiem...

— Tak! — parsknęła Zula, jak zła kotka — a jutro przy tablicy, to o mało się nie zachłyśniesz, tak będziesz prędko trajkotała.

— Daj jej spokój, niech ma tę przyjemność, że wierzymy, że nic nie umie — drwiła Nina.

— Nie kłóćcie się, niewiasty — zaganiała Wanda wszystkie ku drzwiom — a teraz tłumik na twarz i żebyście mi nie wrzeszczały po korytarzach, tak jak wczoraj. Zula, zgaś światło.

Rozmawiając szeptem, weszły po schodach na drugie piętro, gdzie mieściła się kaplica. Nie zapalały lamp elektrycznych. W świetle wiecznej lampki z przed tabernaculum, kaplica była milsza i modliło się lepiej. Właściwie było zupełnie ciemno, tylko przed ołtarzem znaczył się duży, czerwony krąg. Ponieważ wolno im było uczyć się dłużej wieczorami nie potrzebowały uczestniczyć we wspólnym pacierzu. Lala i Nina załatwiały się prędko z swoim wieczornym pacierzem. Twierdziły, że są zbyt zmęczone, żeby się długo modlić. Zula zwykle modliła się godzinami. Iza i Wanda klękały przed bocznym ołtarzykiem Niepokalanej. Modliły się niezbyt długo, ale gorąco. Były w tym wieku, kiedy pobożność nie hamowana przez żadne wątpliwości jest głęboka i prawdziwa. Później jakże często staje się przyzwyczajeniem, albo czymś robionym na pokaz.

Buda Izy znajdowała się pod oknem; uchyliła rolos tak, że blask księżyca zalał jej białe łóżeczko. Leżała cichutko, czując, że znów nie będzie mogła zasnąć, gdy cicho uchyliła się zasłona jej budki. Wanda otulona w ciepły szlafroczek przycupnęła na łóżku.

— Niby to zawsze jestem taka senna — skarżyła się szeptem — a potem nigdy zasnąć nie mogę. Jesteśmy jednak przemęczone. Ale może ty chcesz spać?

Iza włożyła sobie pod plecy poduszkę i rozsiadła się wygodnie.

— Wcale a wcale — zapewniła. — Możemy sobie trochę pogadać. Wiesz, ja cały dzień mam myśli zajęte czym innym, ale co wieczór w łóżku myślę o tym samym. O tym, jak to będzie po maturze, gdy będziemy już dorosłe. I wiesz, tak mi trudno to sobie wyobrazić... Jak to będzie?

— Będzie cudnie! — szepnęła Wanda. — Pomyśl, wszystko nam będzie wolno. Bale, dancingi, teatry — ach! ja tak lubię się bawić. I nareszcie raz ciśnie się w kąt ten obrzydliwy mundur, beret, czarne pończochy, sandały. Jak to przyjemnie będzie mieć nowe, modne suknie i kapelusze. Wiesz — ja najpierw zmieniam skórę, a po tym idę poznawać świat... poznawać życie.

— Poznać życie... tak, i ja to tak czuję, tylko, że ja się trochę tego życia boję... ale i cieszę się, cieszę bardzo i dlatego wszystko widzę raz różowo ,raz czarno. Jednak — wiesz — przede wszystkim jestem ciekawa, taka ogromnie ciekawa.

— A po tym przyjdzie to najcudniejsze — marzyła głośno Wanda wznosząc szafirowe oczy na księżyc — po tym, gdy się zakocham, tak naprawdę zakocham... Ale tego już zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić.

Iza milczała, pochyliwszy głowę. I dla niej miłość była najbardziej upragnionym darem, jaki miało jej przynieść życie, tylko jakoś nie umiała o tym mówić.

— Ale przed tym ta matura, to okropna matura — zaczęła biadać Wanda. — Gdy pomyślę o matymie, to mnie zaraz żołądek boli. Tak ci zazdroszczę, żeś już zdała tę trygonometrię.

— Ty też zdasz, napewno — pocieszała ją Iza.

— Panienki, proszę spać, nie rozmawiać — głośny szept rozległ się po sypialni. To obudziła się śpiąca w kącie za parawanem siostra konwerska.

Zastygły na chwilę w bezruchu.

— Poczekaj, nie idź teraz, bo na pewno parzy przez parawan — szeptała cichutko Iza.

— Wszystko mi jedno i tak naskarży jutro Mistrzyni i będziemy musiały się przyznać.

Ucałowały się na dobranoc i Wanda cicho, by nie pobudzić śpiących wróciła do swej budki. Cisza zaległa białą sypialnię.

(Ciąg dalszy na str. 673)





**Rezerwiści marynarki angielskiej wyruszają na manewry.**

# KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

## W GODZINĘ CUDÓW

Radośnie w piersi serce drży,
Z wzruszenia płoną lica,
Bo oto sen się cudny śni,
I dziwi, i zachwyca...

Z rozkwitłych wonnym kwieciem drzew
Różowe płatki płyną,
Do stóp je sypie lekki wiew,
Cichutką tą godziną.

Jest Bóg gdzieś blisko... Stanął tuż,
Tuż przy serduszku drżącym,
Jakby je zabrać pragnął już
Z tym kwieciem padającym...

Modli się dusza... może śni,
Lecz dobrze jej, radośnie,
Miłością, szczęściem słodkim drży
W tej cudnej życia wiośnie.

Jest taka wiosna w dziecka dniach,
Gdy widzi Boga wszędzie,
Jest z nim na jawie, jest z nim w snach,
Jak długo dzieckiem będzie.

*Aleksandra Chlebowska.*

# DOBRE RADY PANI ZOFII

## UDZIELAM POCHWAŁY

*Amneris.* Dziękuję Ci, kochanie, za nadesłanie adresu oraz tych wszystkich miłych informacyj o Gdyni.

A teraz przychyl główkę, abym Ci mogła szepnąć kilka słów pochwały za ukończenie kursów sanitarno-ratowniczych — dzielna i kochana panienko!

Co zaś do ciekawości pewnej osóbki, to trudno mi ją zaspokoić, jako że udało by się to jedynie w wypadku gdyby jakieś bożki zesłały małą ciekawską tu do Żnina. A przecież bożkom wolno kaprysić — prawda?

Pozdrawiam Cię wesołym uśmiechem i przechodzę do komunikatów:

Raptus. Wkrótce napiszę list. Zatem czekaj.

Długas. Proszę napisać pierwszy — odpiszę na pewno. Więc do usłyszenia!

Złotowłosa. Kochanie, może napiszesz do mnie? Ucieszyłabym się szczerze. Całuję mocno buźkę i złote włoski.

Marzące Oczy. Podobasz mi się i... całuję Cię.

Mała Wróżko! Mam dużo sympatii dla Ciebie. Ściskam łapki.

Joshimura. Czy mogę prosić o list? Mieszkamy w jednym mieście. Czekam cierpliwie i zasyłam miły uśmiech".

## ŻYCZĘ DOBRYCH REZULTATÓW

*To ja.* Dziękuję za „Miotlarza" — zamieszczę wkrótce.

Byłam tu i tam i wypoczęłam wspaniale. Opaliłam się naturalnie i teraz staram się podtrzymać tę opaliznę. Z tego ważnego powodu każdą wolną chwilę wykorzystuję na flirt z promiennookiem słońcem.

Powinnaś, kochana, także starać się przebywać jak najwięcej na słońcu i poddawać ciało kąpielom powietrznym.

Życzę Ci dobrych rezultatów na kursie i posyłam radosny uśmiech.

## ZANIM OPUŚCISZ ZAKOPANE

*Leśna Dziewczyna.* Dziecino Droga, bądź pewna, że Twoje zachwyty nad górami nigdy mi się nie znudzą, gdyż sama jestem ich wielbicielką. Żałuję tylko, że taka wielka przestrzeń oddziela mnie od nich, gdyż byłabym częstym ich gościem, a tak muszę zadowolić się zachwytami i entuzjazmem na odległość.

Przyjemną jest mi wiadomość o Twoim przeniesieniu do Krakowa, będziesz dzięki temu mogła zaspokoić wszelkie kulturalne potrzeby. Zanim opuścisz swoje ukochane góry, użyj ich jeszcze do syta! Wszelki wolny czas poświęcaj na wycieczki i na nietrudne „wspinaczki". Ty zdecydowana entuzjastko Tatr!

Całuję Cię serdecznie i przechodzę do przedruku komunikatów:

P. Apolinary Żurawski. Proszę coś jeszcze napisać o Tatrach — to moje ukochane góry. Przesyłam pozdrowienia z Tatr.

Przybłęda Leśny. Moc miłych pozdrowień przesyłam.

Wicher. Wicherku kochany, pozdrawiam Panią serdecznie.

Awiata. Czy jesteś w Dęblinie? Znam kogoś z S. P. L. Pozdrawiam.

Wit. Napisz pierwszy — o ile? Ślę pozdrowienia. Krainiacy, kto kocha nasze Tatry, uprawia „białe szaleństwo", a latem błądzi po Gąsienicowej, Morskiem, Pięciu Stawach i Orlej Perci — niech się odważy (a tacy są odważni) i napisze do mnie. „Leśna Dziewczyna" poste restante, Zakopane 3.



Zosia — Wołynianka zabłądziła w zbożach, lecz nie traci odwagi, przeciwnie, śmieje się beztrosko.

## NOWICJUSZ

*„Oczekujący Chłopczyk".* Przyjmuję Cię do „Krainy", nowicjuszu, w nadziei, że staniesz się jednym z najczynniejszych jej członków. Twoje oczekiwanie na przyjęcie skończyło się z niniejszym moim listem, a teraz z kolei oczekiwać będę ja... A na co? Na Twoje częste listy. Postaraj się skrócić to oczekiwanie do minimum.

Łączę pozdrowienia i życzliwy uścisk dłoni.

## POZDROWIENIA Z ZAOLZIA

*„Młodemu Orłowi"* dziękuję serdecznie w imieniu „Rodzinki" i swoim za pozdrowienia nadesłane z Zaolzia.

## KTO CZERPAŁ WODĘ Z JEZIORA?

*„Królowa Gizella"* przesłała nam serdeczności z uroczego, jej zdaniem, Bnina.

Dziękuję Ci za pamięć, Droga Dziecino i przy okazji zapytuję się, czy może i Ty jesteś w tej grupie dziewcząt, czerpiących wodę z jeziora bnińskiego?

Proszę przyjąć mocny uścisk łapek i dalej pamiętać o nas!

## NIE WĄTPIĘ W TWOJĄ SŁOWNOŚĆ

*Szukający.* Czy jeszcze się nie „rozlokowałeś" w miejscu nowego pobytu? Jeżeli tak, to powinieneś pomyśleć o spełnieniu obietnicy nadesłania mi obszernego listu. Nie wątpię, że będziesz słowny, Smyku Mały!

Łączę przyjazny uścisk dłoni.

## PRZYZNAJ SIĘ

*„Zych".* Przyznaj mi się szczerze i bez obaw, Chłopcze Dzielny, czy nie należałeś już do Krainy, a może masz starszego brata, bo Twoje nazwisko stanowczo jest mi nieobce i coś mi się mocno zdaje, że mam Cię już w ewidencji krainiaków. Jakby wreszcie nie było, siedź sobie spokojnie w naszym zaczarowanym państewku i rośnij nam na pociechę, tudzież na chwałę.

Wiersze Twoje wręczyłam Wujkowi Januszowi do oceny i z góry zapowiadam, że musisz się uzbroić w cierpliwość, jako że kochany Wujcio ma podobnych wiersząt niezliczone stosy do skorygowania. Aż mi go żal — na świecie słońce roztacza wszystkie swe promienne czary, woda magnetyzuje wołaniem o pływanie, a on bieduś ślęczy i ślęczy nad tymi niekończącymi się nigdy wierszydłami, coraz to ścierając kroplisty pot z czoła. Pilny i cierpliwy nad podziw jest nasz Wujcio, trzeba mu to sprawiedliwie oddać!

Ale stwierdzam, że się rozgadałam, a tu trzeba jeszcze przedrukować tasiemce Twoich komunikatów, zatem bywaj mi i nie zapomnij odezwać się znowu przy dogodnej okazji!

Biały Puszku! A jednak odgadłem, że Gród Sambora jest Ci znany. Szkoda tylko, że nie odgadłem kim jesteś — a może my się znamy? Bo ja, to człowiek, który codziennie przechodzi koło Twej „Kuźni młodych" do swojej. Proszę, skrobnij słów kilka. Na razie pozdrowienia.

Jachciczanka. Cóż pod tym ciekawym pseudem może się ukrywać, a raczej co ono ma oznaczać? Ciekawym bardzo. Można się dowiedzieć?

Wesołą Sztubaczkę zapytuję, skąd tyle humoru? Czyżby tylko w okresie wakacyj? A może też w szkole, jeśli tak, to podaj łapkę. Bo i ze mnie kawał „drania".

Danka z Pomorza. I ja synem ziemi pomorskiej. Przesyłam Ci przeto znad ujścia Wisły moc pozdrowień, prawdziwie sztubackich i pytam, czy można coś „skrobnąć"?

Dziewczynka z zaklętego młyna. Czyżby naprawdę pseudo odpowiadało Tobie? Lecz co ja mówię! I ja marzę o takim małym zakątku, gdzie „dusze się szukają". Zasyłam Ci moc pozdrowień wprost z mej „kuźni młodych" i proszę o echo z tego „zaklętego młyna".

Te Em'ie — wiesz kim ja? Człowiek, który się nudził na wakacjach. Pozdrowienia"!

## OCENI W KOLEJCE

*„Reniuta z Chrzanowa".* Otrzymałam zarówno list Pani, pisany na letnisku, jak i pocztówkę — dziękuję za jedno i drugie.

Bardzo miło będzie mi powitać Panią w redakcji, obyś tylko zechciała dotrzymać danej obietnicy!

Wierszyki wręczyłam Wujkowi Januszowi, przyrzekł wydać ocenę, ale nie wcześniej nim nadejdzie ich kolejka.

Łączę życzenia dobrego spędzenia reszty wakacyj i pozdrawiam serdecznie.

Halo! Proszę o liścik od Renaty z nad Gopła, od Reny z Kujaw, Armeńczyka, Słodkiej René.

Krainianki! Może która napisze do Reniuty z Chrzanowa?

Obserwator I. Dlaczego milczysz? Napisz do mnie liścik. Pozdrowienia z letniska z Tenczynka dla całej Krainy. Adres mój: Reniuta z Chrzanowa, Krzeszowice, poste restante. Adres ten jest ważny tylko do połowy września ewentualnie do odwołania. Pa!"

## KU MOJEJ RADOŚCI

*„Irek".* Serdecznie Ci dziękuję za kilka miłych słów — dołączonych w liście do administracji — dla „Krainy" i dla mnie.

Widzę, że dobrych dla nas uczuć nie tracisz i stale pamiętasz, że nie wystarczy myśleć o „Rodzince", ale należy jeszcze z nią współżyć, co też czynisz ku mojej ogromnej radości. Życzę Ci powodzenia, Żołnierzyku Drogi i oczekuję nowego znaku, że żyjesz i pamiętasz!

## NIKT NIE ZGADNIE

*„Smutna i brzydka Irka"*. Ej, Ty pędziwietrze — nikt nie zgadnie, ile ja mam wesela po każdym Twoim wariackim liściku! A ile ja zakazanych słówek poznałam z Twojego słownika... Czysta heca z Tobą, kochany Ty Łobuzie! Miej się nadal tak dobrze i wesoło i śmignij wreszcie na urlop, a potem opisz mi go dokładnie. Bywaj!

„Barcia". Napisałam, a co Ty na to?

„Przedwiośnie". Tylko wzdycham ciężko... ufff!...

„Tyran". Napisz choć słówko — bo przed 15. 6. ja już nie zdążyłam. Gdzie jesteś teraz?

„Góraleczka". Barani a raczej owczy ser... gdzie? A list? Poprawa winna nastąpić!

„Zosia Wołynianka", „Długas", „Blanka", „Samotny S." — niech przyjmą serdeczności i t. d. Pozostałych pozdrawiam.

„Poczta Buk", „Wiaruchna" — ściskam wszystkich bez wyjątku, zacząwszy od... Kazi, a skończywszy na „lodach".

„Jędrek H. — Sędziny"! „Matczyne" całusy przyjmij serdecznie".

## DOBRZE CIĘ ZAREKOMENDOWANO

*„Dziewczę z lechickich pól"*. Powiedz, Dziecino, swej protektorce Blance, że zarekomendowała mi Ciebie tak dobrze, iż bez wahań przyjmuję Cię do grona naszej Rodzinki. Sądzę, że nie zawiedziesz pokładanych w Tobie nadziei i będziesz dobrą, a przede wszystkim bardzo czynną krainianką.

Wiesz już zapewne, że do obowiązków członka Krainy należy regularna korespondencja z nami za moim naturalnie pośrednictwem. Pozostaje Ci zatem pilne wypełnianie podjętych z dniem dzisiejszym obowiązków.

Posyłam Ci bardzo życzliwy uśmiech, nowa nasza siostrzyczko!

„Halo, „Szepczący"! Odkryłam Twoje incognito. Miłe pozdrawiam.

„Raptus". Może się odezwiesz? Jestem również nowicjuszką.

„Złotowłosa". Całuję Cię mocno i pragnę z Tobą nawiązać kontakt korespondencyjny.

Pozdrawiam serdecznie „Samarytankę", „Gałązkę Świerku", „Słoneczną Jasieńkę", „Tyrana" i „Długasa".

Miłe uśmiechy przesyłam kochanym gnieźniankom: „Złotemu Dzwoneczkowi". „Helusieńce", „Zymełce", „Latonie". Znam Was z opowiadań Blanki.

## CO Z TAJNYM DETEKTYWEM?

*Łobuz w spódnicy*. Jakże mnie ucieszyły obie wiadomości, podane przez Ciebie jeszcze tak niedawno, bo w zeszłym miesiącu. Czy od tego czasu nic przykrego nie zachmurzyło Twego pogodnego buziaka?

Tajny Detektyw zakonspirował się tak dokładnie, że nic o nim nie wiem. Może rzeczywiście spotkało go co ciężkiego w szpitalu.

Jeżeli ktoś z Rodzinki wie o nim coś konkretnego, to niech nie omieszka mi o tym donieść.

Co do Ciebie, Łobuzie w spódnicy, to z przyjemnością dowiedziałam się, że spotkałaś się na wywczasach w Puszczykowie z Królową Gizellą. Przy okazji dziękuję Wam za wspólne pozdrowienia, nadesłane pocztówką.

Piszcie obie często i pamiętajcie o Waszej życzliwej przyjaciółce, jaką jestem bez wątpienia

Marzenka w Ameryce. Bardzo chętnie nawiążę z Tobą korespondencję, tylko czekam na ustalenie adresu, który nastąpi przy zmianie posady. Napisz pierwsza na ręce p. Zosi. Ślę Ci promienne uśmiechy lata.

Biały Puszek. Cieszę się bardzo, że przypadłam Ci do gustu. Nawiążmy nić sympatii i będziemy broić aż hej!

Wesoły dowcipniś w mundurze. Piszesz tak, jakbyś mię już znał z dawien dawna, a ja Ciebie „ne znaju". Może odważysz się napisać do Łobuza w spódnicy, który za dowcipnymi listami wprost przepada. Żyj!

Młody Las. Milutko Cię pozdrawia — Hania.

Taki jeden. Przyjmij hasło! Niech żyje optymizm.

Królowa Gizella. Opalonaś pewnie na czekoladę, no i samopoczucie lepsze, jak przed wakacjami — prawda? Przyjmij buziaka od Hani. Reszcie, t. j. olbrzymiej masie „siostrzyczek" i „braciszków" najmilsze uśmiechy wakacyjne śle

*Łobuz w spódnicy*.

*Szatynka z Podlasia*. Kochana, chciałabym doczekać się chwili, w której doniesiesz mi, że jesteś już zupełnie szczęśliwa, Ty moja nieznośna pesymistko!

Przyjedziesz, może kiedyś, to włożę całą swoją umiejętność rozpogadzania ludzi w walce z Twoimi smutnymi zapatrywaniami, z Twoją czarną melancholią — na razie mogę tylko serdecznie prosić o uśmiech. Uśmiechaj się często, w radości, i w smutku — zobaczysz, że z czasem pojaśnieje Ci to wszystko, co dziś jeszcze czyni wrażenie nieznośnej i tłoczącej duszę ciemni.

Owszem, tygodnik wysyłany pod opaską jest droższy, kosztuje 1,50 zł.

Całuję Cię serdecznie i oczekuję nowej wiadomości!

„Serdecznie pozdrawiam Białą Brzóskę, oj popraw się Biała Brzózko, bo jak Ci dam w skórę, to z białej będziesz czarną. Gdzież obiecany list i fotka? Czekam zatem, tymczasem łudzę się nadzieją, która jest zwodnicza.

Mocno całuję Złoty Dzwoneczek. Jaka z Ciebie miła dziewczynka. Pragnę Cię poznać osobiście.

Dyktator. Salutuję ślicznie przed Panem, pragnę otrzymać od Pana liścik. Podziwiam Pana odwagę. Żeby nie obowiązek „dziecka" uczyniłabym to samo. Życie nie przedstawia dla mnie wartości, umarłabym chętnie za Ojczyznę. Pozdrawiam Pana".



Małopolanka — to jedna z naszych najnowszych krainianek. Bardzo ujmującą ma buzię.

## DWIE ODPOWIEDZI

*Farida—Lamikaja*. Odpisuję Wam na list równocześnie w myśl Twego życzenia. Cieszy mnie, że przyjaźń z Lamikają daje Ci, Farido, tyle zadowolenia, zaś smuci wieść o Czarnym Kocie. Widać los pocieszył Cię nową przyjaźnią po stracie dawnej.

Pytasz, czy zgadza się z prawdą twierdzenie pewnego członka Rodzinki, że jestem „szalenie miła". Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, ale sądzę, że jedni uznają mnie za miłą, a inni nie — jest to kwestia różnych gustów ludzkich.

No, ale muszę teraz pomówić z Twoją zaprzysiężoną przyjaciółką, więc pozwolisz, że Cię uściskam na pożegnanie. Rozmowę Twoją z Krainą zamieszczę poniżej. Vale!

A teraz Twoja kolej, o Łamikajo! Więc cieszysz i „pysznisz się" z faktu przyjęcia Cię do Rodzinki? Bardzo miło mi to przyjąć do wiadomości!

My ze swej strony — zwłaszcza ja — też ogromnie jesteśmy Ci radzi, wobec czego nie ma najmniejszych przeszkód do wspólnego wielce sympatycznego kontaktu piśmiennego. Chwyć pióro i z rozmachem zapełnij mnóstwo kart słowami miłymi dla wielu z naszej Rodzinki.

Łączę serdeczne uściski dla Ciebie, a Krainie przekazuję Twoje pozdrowienia i prośbę o pamięć.

„Halo, Krainiacy! Kilka razy zwracałam się do Was, aby napisał do mnie ktoś ze wsi, lub mieszkaniec chatki leśnej, któremu pieśń życia śpiewają lasy, ktoś o duszy subtelnej i oczach, które ponad wszystko ukochały przyrodę. Czy milczenie ma być dowodem braku wśród Was takich przez mnie wymarzonych ideałów? Tylko że mnie nie o ideał chodzi, a o duszę bratnią i miłego korespondenta. Więc czekam, szcze trwa urok minionych chwil?

## UŚMIECHAJ SIĘ CZĘSTO!

Izyda. Jak zwykle, oczki całuję!

Tyran. Strasznie długo się namyślasz, tylko aby nie te sto lat, bo mam obawę, że „mogę" umrzeć przed tym.

Sława. Napiszę z nowym rokiem szkolnym, bo nie podałaś adresu. Całuję.

Młody. Oczy na zdjęciu marsowe, więcej nie powiem, bo mógłbyś być zarozumiały.

Szukający. Czy nie czas od.....

Złoteńka! Słodkie pa!"

*Farida.*

## TO BYŁA OMYŁKA

*Szare Dziewczę*. Więc w apelu zaszła omyłka, co do Twych lat? Dodaliśmy Ci niechcąco pięknych 7 latek — oj, musiałaś Ty, Dziewczynko, zrobić wielkie oczy na widok tej niefortunnej cyfry. Każda 22-letnia panna obrzyłaby się, gdyby ktoś ni stąd ni zowąd dodał jej aż siedem wiosen.

Ale z drugiej strony takie młode stworzenie może bez przykrości przejść nad tym lapsusem do porządku dziennego — nie uważasz?

Jesteś mi wielce sympatyczną i mam niepłonną nadzieję, iż z czasem zaprzyjaźnimy się tak serdecznie, jak dwie siostry.

Życzę Ci wszystkiego najlepszego i zamieszczam Twoje komunikaty:

„Halo! Krainiacy z C. O. P.-u — nawiążę chętnie z Wami korespondencję. Kto mnie obdarzy liścikiem?

Karykaturzysta. Przedstawiłam się w pełnym świetle, proszę napisz!

Hrabia Monte Christo. Pamiętasz może Szare Dziewczę? Skrobnij kilka słów.

Zo-Mulatka. Chcę zostać Twoją przyjaciółką, lecz napisz pierwsza. Przyjmij serdeczny uścisk.

Marzenka z Ameryki. Przyjmij pozdrowienia z dalekiej Ojczyzny. Czy Ty mieszkasz stale w U. S. A.? Może napiszesz. A może mamy wspólnych znajomych w U. S. A.

Janeczkę z Bydgoszczy pozdrawiam.

Pozdrawiam wszystkich Krainiaków z okolic Bydgoszczy. Piszcie, odpowiedź murowana! Pozdrowienia ślę dla całej Krainy i szczery uśmiech. Adres: Szare Dziewczę, Bydgoszcz 10.

*Szare Dziewczę.*

## KHOMUNIKATY EROSA

„Halo, Krainiacy i Krainianki! Po dłuższym milczeniu odzywam się znowu, serdecznie dziękując tym, którzy serdeczną pamięcią i pozdrowieniami sprawili mi niemałą przyjemność. Zarazem przepraszam proponującym mi nawiązanie kontaktu za fakt nieskorzystania z zaproszenia, ale — nie mogłem — wtedy. Obecnie czekam na ponowienie chęci lub wręcz listu. Odwzajemniam pozdrowienia i ślę wszystkim wesoły radosny uśmiech włóczęgi-kajakowca.

Zuch Dziewczyno! Czy oburzenie i gniew zmalały? Bardzo mi przykro i jeszcze raz przepraszam. List chyba wszystko wyjaśnił. Ślę serdeczne pozdrowienia i czekam!

Bajka. Co słychać u Ciebie? Dlaczego milczysz? Zniknął z horyzontu i — kiedy się pokażesz? Przyjmij pozdrowienia.

Wandzia z B. Gdzie obracasz się teraz? Co porabiasz? Kontakt przerwany. Odezwij się. Życzę powodzenia i radości życia!

Dafne. Gdzie jesteś i co porabiasz? Czy tak długo urlopujesz? Czekam wieści. Ślę pozdrowienia i uśmiechy.

Frasquita. Dlaczego cisza u Ciebie? Czy wskutek referatów lub J. C.? Niesłusznie, bo to bez znaczenia dla nas. Ocknij się i napisz wnet. Serdecznie pozdrawiam.

Pilotka. Dlaczego list wrócił? Czy już wyjechałaś? Przy powrocie wybierz inny czas lub zatrzymaj się. Chętnie pogawędzę z Tobą. Daj znak życia. Wesołych wakacyj i serdeczne pozdrowienia.

Orlica. Widocznie dobrze się bawisz na urlopie, że o starych znajomych zapominasz. Czy to ładnie? Popraw się no i przyjmij radosne pa!

Księżniczka Henrietta. Za miłe pozdrowienia serdecznie dziękuję. Odwzajemniam je i — czekam — czy długo, na próżno?

Przewiośnie. Dziękuję za pamięć i serdecznie pozdrawiam. Kiedy otrzymam obiecane wieści?"

## DZIĘKUJĘ ZA PAMIĘĆ

*„Wierna"* okazała się godną swego pseudonimu, pamiętając o mnie nawet w czasie uroczych wędrówek wśród czarów gór i jezior. Całuję mocno, dziękując za pamięć. Czy je-




Czy „Rodzinka" przypomina sobie „Aramisa"? Oto jego podobizna.

## IDZIEMY NAPRZÓD

*Sława.* Gratuluję wyróżnienia W. K. N. — — to zawsze pewnego rodzaju awans służbowy. Pracowita z Ciebie osóbka, bo nawet wakacje zajęte poważną nauką, pochwalam jednak postępowanie Twoje w całej rozciągłości. Bez ciągłego dokształcania się, tkwimy w jednym miejscu. A przecież każdy ma ambicję posuwania się naprzód, uzupełniania swego wykształcenia, jednym słowem — doskonalenia się. Przesyłam dużo serdeczności.

## ROZTAŃCZONE, ROZEŚMIANE...

*Złotowłosa.* Aż skarżą literki Twojego listu od nadmiaru zawartej w nich radości i tej bajecznej różowej beztroski, która jest przywilejem ludzi przemłodych — takich jak Ty, dziewczynko Złotowłosa! Pisz mi zawsze tak radośnie i zalewaj słonecznym potokiem słów roześmianych moje ciche, skupione biurko. Słowa te odskakują od zielonej bibuły, zataczają taneczne kręgi nad okrągłym kałamarzem, obijają drobne nożęta o ostre kandty cego seledynowego stołu pracy, aby wreszcie w szalonym rozbawieniu wskoczyć na barwne kwiaty w wazoniku i stamtąd słać mi niezliczone, tętniące od radości uśmiechy. A ja wchłaniam je chciwie w siebie, rozjaśniam się cała od ich uroku i z kolei przesyłam je całej naszej Rodzince.

Widzisz więc, ile zasługi masz, kochana!

Przyszlij mi szybko nową porcję letnich uśmiechów, a na razie nadstaw buziak, abym g omogła ucałować.

Szukający. Przyrzekłam pomóc w szukaniu i dotrzymam słowa. Znalazłam już „coś" dla Pana. Gdyby nie obawa, że znowu nie odpisze mi Pan — chętnie opowiedziałabym o tej „zgubie", którą znalazłam... Bardzo serdecznie pozdrawiam!

Szepcący. Nie wiem dlaczego, ale tak bardzo chciałabym otrzymać list od Ciebie. Napisz — a przyślę Ci moją fotkę i opowiem dużo, dużo o życiu sztubaków. Czekam!

Łobuz znad Wisły. Ja jestem podobno takim dobrym małym duszkiem. Napisz do mnie, to przyjdę do Ciebie w postaci „duszka" i cichutko opowiem ich piękne baśnie. Zgoda?

Rodzince uśmiechy!

## CHWYTAM CIĘ ZA SŁOWO

*Wesoły dowcipniś w mundurze.* To ładnie, że powróciłeś z „pola chwały" zdrowy i w dobrym humorze. Zaś co do obiecanego długiego listu, to chwytam Cię za słowo i oczekuję go niecierpliwie.

Prośbę naturalnie spełniam, łącząc wesoły i pełen życzliwości uśmiech.

„Halo! Tu się melduje posłusznie „Wesoły dowcipniś w mundurze, który wrócił z „pola chwały".

Rodzinko! tak bardzo mi tęskno było za Tobą, a jednak nie mogłem skreślić nawet kilku słów, gdyż warunki, w jakich się znajdowałem (chodzi o czas) nie pozwalały mi na to.

Obecnie jestem już na miejscu, doskonale się czuję i jak zwykle jestem wesoły i pogodny.

Księżniczka Henrietta. Zainteresowałaś mnie Hswoim pseudonimem, czy przypadkowo znamy się z Poznania z U. P. (czas studiów)? Może skrobniesz? — odpowiedź murowana. Łączę pozdrowienia.

Blondasek. Cieszę się, iż zasługuję na zwrócenie uwagi, ale... szalenie mi przyjemnie, gdy otrzymuję list pierwszy — wobec czego nadal czekam! Przesyłam pozdrowienia.

Złotowłosa. Bądź grzeczną i nie daj mi dłużej czekać na liścik. Pozdrawiam — pa!

Uśmiech Szatana. Pazurów się nie boję — przesyłam promienny uśmiech i moc serdeczności. Proszę o liścik!

A teraz serdeczne pozdrowienia mają: Marzące Oczy, Wesoła Marietta, Biały Wrzos. Młody Las, Mała Marysia, Amneris, Bajka, Lillawati, Sztubaczka, Mickey-Mouse, Pensjonarka oraz cała Rodzinka, którą proszę o jak najwięcej listów. Pa!

Adres w redakcji."

## ROZUMIEM

*Yoshimura.* Miły Chłopcze, rozumiem ja wszystkie trudności, jakie codziennie pokonywać musisz i jakie pokonujesz odważnie i ochotnie. A dlatego, że je rozumiem, mam dla Ciebie tyle serdecznej sympatii, uczucia wręcz siostrzanego.

Z ogromną przyjemnością odczytuję też każdy Twój list, bo wiem, że będą w nim słowa szczere i rzeżwe od młodzieńczego zapału.

Jesteś kochanym naprawdę chłopcem.

Numery tygodnika będzie Ci administracja przesyłała odtąd pod opaską, ale opłata będzie wynosiła drożej, bo 1,50 zł.

List do „B. W." przesłałam.

Bardzo się cieszę na zapowiedzianą przez Ciebie wizytę w redakcji — postaraj się ją zrealizować szybko.

Łączę przyjacielski uścisk dłoni i życzenie pomyślności.

Komunikaty.

„Uśmiech Szatana. Listy Twoje są dla mnie jak błyski latarni morskiej, dla żeglarza płynącego po wzburzonych falach nieznanego oceanu...

Biały Wrzos. Czy list mój dostał się do kosza? Czekam!

Stary Wojak. W tył zwrot! Odmaszerować! i ubrać spódnicę...

Serdecznie pozdrawiam Samotną Idealistkę, Blankę, Królową Gizellę, Czarnobrewą, Maleńką Hali, Lamikaję, Waldemirę, Szaloną Celę, Władzię S. Genię Z., Selima, Armeńczyka i wszystkich z paszportem krainiackim.

## MOGĘ CIĘ POCHWALIĆ

*Emerytowana Gimpelka.* Szczerze opowiedziałaś mi o sobie, za co mogę Cię słusznie pochwalić. Jeżeli zawsze będziesz równie szczerą, to bezwątpienia dobrze będzie Ci się układało współżycie z ludźmi.

Życzę Ci wielu przyjemności w naszej Krainie, pozdrawiam jasnym uśmiechem i przedrukowuję Twoje komunikaty:

„Koralowe usta. Czy jesteś sztubaczką? Napisz do mnie — dobrze?

Róża Leśna. Bardzo lubię róże, może napiszesz i dołączysz choć jeden płatek róży?

Młody Orzeł. Przyjmij pozdrowienia. A może napiszesz do mnie?

Czarnulka ze Świecia. Przyjmij pozdrowienia. Znam Cię. Nusia G. — prawda?

Przyjmijcie wszyscy pozdrowienia. Może ktoś z wymienionych napisze do mnie.

Wagon całusów zasyła całej Krainie Emerytowana Gimpelka i prosi o pamięć!

# ŁAŃCUCH SKŁADKOWY

## NA DOZBROJENIE NASZEJ ARMII

Na wezwanie Serduszka wplątam się do naszego łańcucha składkowego i wzywam do kontynuowania ofiar: Alohę, Samotnego — Chorzów I, Amerykanina, Awiatę, Anta Ninę, Aneri Amneris, Annę, Akację, Abnegata, Bursztynowe Serduszko, Banialukę, Zbijobruka poznańskiego, Belfra, Biały Wrzos, Białą Uajali, Małą Konwalijkę, Bez pseuda, Córkę Wichru, Carmen i Czarnego Diabełka.

Zofia z Krainy . . . . . . . , 10 zł,

Wujek Janusz . . . . . . . , 10 zł,

i wzywa: Irusię z Wołynia, Szczęśliwą żonę, Urana, Anielę Wolną, Ikara IV, Siboney, Burzę, Przedwiośnie, Czarodziejkę, p. Grzegorskiego, Wieśniaka, Charkowiankę, Mój świat, Tęsknotę z gór, Lucet, Małą Wróżkę, Rozmarzony Błękit, Przeklętą Ewę, Czarownicę z Łysej Góry, Wiedźmę z Debry, Pieśniarza, Pana Twardowskiego, Niesforną Lulu, Dziewczynę z dalekiej Ojczyzny, Samarytankę, Łobuza znad Wisły, Wierzbę na pustkowiu, Łobuza w spódnicy, Szatynkę z Podlasia, Szarą Falę, Jerychonkę i tych wszystkich członków mojej teczki, którzy jeszcze nie złożyli ofiary.

Wędrowna Chmurka . . . . . . 5 zł.



„Karykaturzysta" przedstawia się nam w karykaturze własnego wykonania.

## MOŻE JESIEŃ?

***Taki jeden.*** Czy „czasy burzliwe" zawsze przynoszą zanik ciekawych do rozwinięcia tematów i czy zawsze działają tak paraliżująco na Twoją wymowę? Chciałabym to wiedzieć.

Wiecznie „taki"? Ja bym powiedziała czasem taki, częściej inny, a najczęściej to niezmoknik, którego nagle nachodzą, fantazje zamykania się w sobie. Czy długo jeszcze będą trwały te fantazyjki?

Masz moje współczucie z racji tego niespełnionego urlopu, szkoda Twej radości, Mój Chłopcze! Ale postaraj się koniecznie wziąć urlop, niech będzie nawet w jesieni, zresztą jesień jest fascynującą porą roku dla ludzi, którzy kochają się w barwach złotych. Tylko i jedynie jesień potrafi tak rozrzutnie, ultra hojnie szafować wszystkimi odcieniami złota. A jest ich mnóstwo!

Czy udało mi się choć maleńko przekonać Cię? I czy zgodzisz się na jesienny urlop?

Posyłam Ci pełen sympatii uśmiech. Bywaj!

## WIĘCEJ!

***Koralowe usta.*** Dziękuję Ci za pozdrowienia znad morza, ale może zdecydujesz się napisać mi więcej? Tych kilka słów... Przecież niczego ważnego nie dowiedziałam się z ich o Tobie. A ja chcę wiedzieć, jak się czujesz i co robisz. Tak!

Całuję Cię i czekam!

## DOŁĄCZYĆ SWOJE GROSZE

*Zaza.* „Zmartwiłam się trochę tym, że nasi „Krainiacy" tak niechętnie kują ogniwa naszego łańcucha składkowego na dozbrojenie armii. Po słowach uznania, jakie składali „Blance" za jej projekt łańcucha składkowego, sądziłam, że wszyscy bez wyjątku będą przesyłali choć po parę groszy na ten ważny cel. Przyznaję Pani słuszność, że mamy wszyscy słomiany zapał, który niestety jest cechą Polaków. Mam jednak nadzieję, że „Krainiacy" nie dopuszczą do tego, aby Pani musiała się na nas gniewać i wszyscy na pierwszego przyślą chociaż po 50 gr., a wtedy nasza kochana „Ciotuchna" rozpogodzi swoje oblicze. Ja podaję projekt, aby nie wyszczególniać w „Moich Powieściach" nazwisk ofiarodawców, bo może ktoś nie mogąc posłać większej sumy nie posyła wcale, bo nie chce, aby wszyscy dowiedzieli się o tym, że nie ma pieniędzy. Ja wiem, że to jest niemądra ambicja, ale tak już jest".

Tak piszesz Droga Dziewczynko? Nie wiem ja, czy członkowie Rodzinki powinni krępować się względem na ewentualny mój niehumor z racji słabego kucia łańcucha, ale wiem na pewno, że wszyscy z głębszej przyczyny winni dołączyć swe, choćby najdrobniejsze grosze, zaś fałszywy wstyd z powodu wpłacenia małej kwoty byłby tu niezrozumiały i bezpodstawny.

Wkrótce już wyjedziesz na wypoczynek. Pragnę, aby on był całkowity i — co jest ważne — przyjemny.

Napisz nam choć jaką kartę z pięknego a dalekiego Wołynia. Pa!

„Wołyniak. Zdaje mi się, że teraz jesteś w Warszawie na kursach. O ile jeszcze nie wyjechałeś, to proszę Cię skrobnij do mnie list, ale możliwie jak najszybciej, bo mam Ci coś do zakomunikowania. Pierwsza nie mogę napisać, gdyż w tym wypadku daję pierwszeństwo mężczyznom.

Halo! może ktoś z Krainy, mieszkający w okolicach Łucka lub Równego, napisze do mnie, bo 20. VIII. br. będę na urlopie w tych stronach, więc mogłabym kogoś odwiedzić. Przede wszystkim proszę o list Irusię z Wołynia i Tajemniczego Nieznajomego.

Kazimierz Junoszyc. Ostatnio spostrzegam zastój w Twojej „twórczości poetyckiej". Czy pod wpływem słońca natchnienie „wyparowało"?

Wszystkim, którzy przesłali mi pozdrowienia w swoich komunikatach, bardzo dziękuję i pozdrawiam Ich serdecznie".

## DZIĘKUJĘ!

*Złotej Jutrzence* dziękuję serdecznie w imieniu Wujka Janusza i swoim za serdeczności, nadesłane z Zakopanego i życzę wielu cudownych wrażeń.




## RYTM KULAWY

*Zaira.* Mam tu dwa Twoje wiersze, ten zatytułowany „W lesie" i drugi, poświęcony Złotemu Dzwoneczkowi.

Do druku nie zaklasyfikowałem ich tym razem, za mało są płynne i rytm jakiś dziwnie kulawy — proszę mi się poprawić, Dziecino! Posyłam Ci przyjazny uśmiech i oczekuję nowej przesyłki z fortunniejszymi już wierszykami.

## W BLASKACH KSIĘŻYCA

*„Helusieńce" — poświęcam.*

Ziemia skąpana w blaskach księżyca,
W pachnący wieczór pięknego lata,
Dziwnie ujmuje, dziwnie zachwyca
I czarem wspomnień dusze oplata...

Serca, jak listki drżą w piersiach rzewnie,
Miłość się błąka, po polach snuje
I jakoś tkliwie i jakoś śpiewnie,
W cudny świat marzeń, ziemię ujmuje.

Gdzie, niegdzie gwiazdka złocista zleci,
Na znak, że trzeba przerwać marzenia;
Lecz za to kilka innych zaświeci
I... dalej wszystko w bajkę zamienia.

*Eugeniusz Halman.*

## WIERSZE MIŁE, TREŚCIWE

*Czarna Maryna.* Oba Twoje wierszyki są bardzo miłe treściowo, ale ich forma poetycka, niestety, pozostawia dużo do życzenia — nie mogę zaklasyfikować do druku.

Komunikat zamieszczam poniżej. Mam dla Ciebie dużo sympatii i szacunku, Droga Maryseńko i życzę Ci wszystkiego najlepszego w życiu.

Proszę przyjmij moje serdeczne pozdrowienia i pozwól sobie ucałować obie łapki.

„Ślę serdeczności całej, bez wyjątku, Krainie, a Dziewczęciu z dalekiej Ojczyzny dziękuję za ucałowanie mych oczu. Jesteś w błędzie, myśląc, że są one uśmiechnięte, nie! nawet gdy się śmieję, oczy moje pozostają smutne. Widocznie pomyliłaś się, biorąc mnie za „Marynę", której podobizna była reprodukowana w Krainie — ja jestem poważna i nikt mnie nie zna z fotki. Bywaj!"

## CHLEB

Kromka czarnego chleba
Spoczywająca w spracowanych dłoniach —
Dar nieba.
Krople zmęczenia na skroniach
I te palce drżące...
Obejmujące chleb jako życie,
Zdobywany trudem o świcie
Od trudu gorące...

Patrzyłam — jak zgarniały okruszyny
Nabożnym ruchem poszanowania.
Modlitwę szeptały usta człowiecze,
Chlebem sycone, jako mocą trwania.

Patrzyłam — bo te marne okruszyny
Nabierały w mych oczach bezcennej wartości.
Były jak przebaczenie winy...
Były jak rosa Miłości...
Lśniły mi łzami jako łaska Boża
W pokłonnej fali dojrzałego zboża.

*Zofia Borucka.*

## RÓŻNICA NIEWIELKA

*Rozmarzony Błękit.* Wiersze Twoje zastanawiają mnie bardzo — jeden jest doskonały, inne słabsze, podczas gdy jeszcze inny zupełnie zły. Czym mam to sobie tłumaczyć?

Nadeślij mi zatem dalsze swoje prace, a może uda mi się zorientować w kwestii Twego talentu. Ostrzegam Cię jednak przed uciekaniem się do naśladownictwa, pamiętaj, że to w twórczości jest bardzo niebezpieczne. Różnica między naśladownictwem a plagiatorstwem jest niewielka i nazbyt łatwo można ją przekroczyć.

Łączę pozdrowienie.

## NAD MOGIŁĄ OJCA

Tu spoczywają prochy ojca mego,
Tu przed latami, chwiejąc się — szlochałem,
Gdy go z rozpaczą na zawsze żegnałem,
Po to, by cierpieć... Dlaczego? Dlaczego?!

Słońce nade mną nagle przyciemniało,
Świat stał się dla mnie pusty i przymglony,
Czułem się strasznie, strasznie opuszczony,
A każde moje marzenie — znikało...

Tu, na tym miejscu, matka ma zemdlała,
Jej łkaniom, skargom wprost nie było granic,
Wrócić do domu? Nie... Nie chciała, za nic!...
Smutna ta chwila dziś się przypomniała...

O, losie, losie! Losie groźny, mściwy!
Czemu mnie biczem smagasz bezlitośnie,
Gdy innym życie płynie bez trosk znośnie?...
Kiedyż się wreszcie będę czuć szczęśliwy?

Patrząc w tej chwili na ten krzyż drewniany,
Co tkwi spróchniały w drogiej mi mogile,
Wspominam lata chłopięce i chwile,
Gdym był przez ojca tak bardzo kochany...

Było to dawno, dawno, przed ćwierć wiekiem,
A myśli często ku tym czasom płyną...
Choć dużo, dużo cierpiałem z rodziną,
Cieszy mnie jedno: że jestem... człowiekiem.

*Mieczysław Grzegorski.*

## WIERSZYK SŁABY

*Wiedźma z Debry.* Wierszyk Twój p. t. „Odeszłaś" słaby — nie zamieszczę.

Sądzę, że nie przejmiesz się tym zbytnio, wszak wiesz, że różne wiersze, różne spotykają losy. Może dla innych Twoich „tworzyw" łaskawsze zaświeci słońce. W tej nadziei pozostaję, przesyłając Ci miłe uśmiechy.

## TOBIE

Szczęście... miraż-li szczęścia? czyż nie wszystko to jedno?
Mnie nie trzeba przyrzeczeń, ni słów...
Coś urzekło mi duszę, klątwę cisnąc w jej sedno,
Że się rzucam i szarpię się znów...

Mam-li siebie wciąż badać? Och, znam siebie i tak...
Coś tam w duszy wezbrało jak morze...
Coś w niej kłębi, nurtując, jakiś targa się ptak,
Co z niej zrzucę, co znowu w nią włożę?

Każesz odejść, odejdę, jeszcze noc mi jak mgła...
Pragniesz tego ode mnie odcięcia.
Z oczu więcej nie spłynie — jedna tylko łza...
Może pęknie ta struna z napięcia...

Na mojej strunie rozełkanej, tkliwej
Tyś nie chciał grać...
Chociaż w niej była kropla krwi mej żywej,
Tyś się nie schylił jej brać!

Hej! ta dusza sama się żywiła
I sama z siebie brała swój wikt...
Hej! jakaż moc w niej była i siła,
Że nie zrozumiał jej nikt!

Hej! gdzież pustynność, jeśli nie tu?!
Nie tu, na tym właśnie globie!
Że w piersi, spartej często zbrakło tchu!

Każesz odejść — odejdę — odejść muszę, bo cóż,
Znowu powiesz „nie wolno, nie wolno".
Twardym ostrzem w głąb serca wbijesz zwolna nóż,
Że do życia nie będę już zdolną...

Pożegnamy się z Tobą... i cicho w milczeniu
Złożę uścisk bezsilny Twej ręce,
Oby w nowej rozterce i w nowym zwątpieniu
Odejść w życia niedoli i męce...

Szczęście?... miraż-li szczęścia? Otchłań, zguba czy głusz?
Odejść trzeba! Zapomnieć nie zdołam!
Każesz milczeć — zamilczę — milczeć muszę, bo cóż,
Czy powrócisz, gdy Ciebie zawołam?

*E. Klidzia.*

## WYBRAŁEM JEDEN WIERSZ

*Leon Leoński — Lwów.* Z czterech nadesłanych przez Pana wierszy do druku wybrałem jeden p. t. „Więzień skrzydlaty", który zamieszczam w dzisiejszej „Teczce".

Pozdrawiam Pana mocnym uściskiem dłoni.

## WIĘZIEŃ SKRZYDLATY

Ot naprzeciwko u mego sąsiada
Szara przepiórka zamknięta w niewoli,
Klatka jej ciasna umajona liściem
Zrywanym co dzień na dalekiej roli.

Nic ją nie cieszy, nawet słonko złote,
Patrzy z tęsknotą daleko przed siebie
I milczy smutna i nic nie zaśpiewa,
Lecz goni chmurki po błękitnym niebie.

Ale gdy tylko zagaśnie dzień jasny
I huczne miasto sen ukoi błogi —
Tęskny śpiew ptaszka wciska się ze łzami
Do moich okien i przez moje progi.

Przez ciemną noc mknie znana pieśń więźniowa,
Niepewna, cicha jakaś nuta kwili —
To ptaszę tęskni do swych pól kochanych
Swoją piosenką: pit pilit, pit pilit.

O kiedyś ty szary mały ptaszku mój
Polecisz do pięknych i kwiecistych pól?
Kiedy zanucisz pieśń swoją radosną
A z oczu twoich zniknie i łza i ból?

*Leon Leoński.*

— Ósma klasa! Słuchajcie co wam powiem! Idziemy jutro do teatru!

Iza wpadła jak bomba do sypialni. Podczas południowej „toalety" obowiązywało wprawdzie milczenie, ale wobec tak elektryzującej wiadomości, wszystkie ósmoklasistki z ręcznikami i grzebieniami w rękach otoczyły Izę na środku sypialni, wołając jedna przez drugą:

— Na prawdę? Na co? Do którego teatru? Nie bujasz?

— Wyobraźcie sobie, że nie bujam: idziemy jutro wieczorem na „Śluby panieńskie" do Polskiego.

— Byczo! — ryknęła na cały głos Zula i chwyciwszy poważną jak zawsze Irę, zaczęła ją kręcić w kółko.

— Najlepiej dajcie mi zaraz teraz pieniądze na bilety, bo zaraz po obiedzie idę z Fräulein do miasta — gorączkowała się Iza.

— Nina, czemu ty się wcale nie cieszysz — dziwiła się Wanda.

Nina wydęła pogardliwie czerwone, trochę murzyńskie usta:

— Jest się też na co cieszyć! „Śluby panieńskie"! Miałam 14-cie lat, jak to już widziałam. To w sam raz dla czwartej klasy. Mogliby nas nareszcie poprowadzić na coś mędrszego.

Lala była bardzo skłopotana.

— Nie wiecie, czy dziś jest zebranie sodalicji? Tak?! To okropne, przecież ja muszę koniecznie umyć głowę na jutro. Manicure też nie wiem kiedy zrobię. Chyba jutro po łacinie. Na religii niema co próbować. Ksiądz skacze jak pantera po klasie. I tak mi już zabrał najlepszy pilnik. Nie wiem też co z pończochami zrobić. Jakie wy bierzecie? Jasne?

— Weź brązowe na jasne, a potem na plantach możesz ściągnąć — radziła jej Nina.

— Silence! — zasyczało coś od progu. W drzwiach ukazała się gniewna twarz Madame. — Qui parle? Nina naturellement!

— Ale Madame! Je ne parle pas! naprawdę! — wypierała się bezczelnie Nina.

Madame przeszyła ją groźnym spojrzeniem okrągłych, czarnych oczu i wyszła, z godnością niosąc na fiżbinach kołnierza staromodnie uczesaną głowę.

Przez cały ten dzień i następny ośmioklasistki były przedmiotem zazdrości całego pensjonatu, ale udawały, że zupełnie niewiele sobie z tego teatru robią.

Nadszedł wreszcie oczekiwany wieczór. Z czeluści szafek wychynęły na światło dzienne rurki do zakręcania loczków, puderniczki, perfumy, cały rynsztunek tak bardzo karygodny i zakazany. Po tym już wszystko było trochę nierzeczywiste. W mrocznym hall'u mała grupka ustawiała się parami. Mistrzyni sama wyprawiała swe pupilki, dając im rady, przygladzając zbyt nastroszone grzywki i „pejsy", i rękawem habitu obcierając upudrowane noski. Po tym zjawiła się Madame jeszcze bardziej sztywna niż zwykle. Z głuchym łoskotem zamknęła się brama. Ogarnęła je mroźna, gwiaździsta noc. Wszystko było takie cudne i upragnione. Jasno oświetlone ulice, piękne auta, eleganckie futra. Biedne pensjonarki czuły się jak Kopciuszki w swych granatowych beretach i płaszczykach. Potem vestibul teatru, lustra, światła, piękne toalety, zapachy perfum.

— Nie, doprawdy jak my wyglądamy w tych naszych „łachach" — szeptała Wanda — popatrzcie, jakie tamte panie mają ładne sukienki i takie krótkie! Ja się czuję jak zakonnica w tej długiej spódnicy.



**Małgorzatki...**

— Ja sobie moją podciągnęłam ile się tylko dało. Żeby przynajmniej mieć cieliste pończochy — żaliła się Lala.

Otwarto przed nimi jakieś drzwi. Miały miejsca w loży pierwszego piętra. Madame umieściła się w pierwszym rzędzie mając z jednej strony Irę, a zdrugiej Wandę i Izę. Reszta miała miejsca za nimi. Koło Lali jedno krzesło pozostało niezajęte.

— Ciekawam, czy też tu będzie kto siedział — gorączkowała się Lala — może jaki przystojny młodzian, toby było rajsko!

Jednak rozległ się już trzeci dzwonek, a miejsce było ciągle puste. Lala straciła wszelką nadzieję. Dopiero gdy światła na widowni zaczęły gasnąć, uchyliły się drzwi loży, wszedł wysoki mężczyzna i cicho zajął miejsce obok Lali. W tejże chwili światła zgasły zupełnie i przyjrzeć mu się nie mogła. Gdy zaś kurtyna poszła w górę zapomniała o nim zupełnie. Dopiero w antrakcie zwróciła uwagę na swego sąsiada. Był wysoki, miał piękne, czarne oczy, wydatny nos i nieco kobiece usta. Z lekkim uśmieszkiem obserwował swe sąsiadki. Madame teraz dopiero zauważyła intruza. Z wściekłą miną otworzyła drzwi, zawołała garderobianą i zaczęła jej wymyślać po francusku. Biedaczka nic nie rozumiejąc miała minę bardzo przerażoną. Dopiero Nita wytłumaczyła jej, że Madame pragnie by wyrzuciła tego pana z „ich" loży. Okazało się jednak, że młody człowiek miał bilet właśnie na to krzesło. Madame z miną zdetronizowanej królowej zajęła swe miejsce. Lala i Nina chichotały i zerkały raz po raz na swego sąsiada.

— Ne le regardez pas! — syczała Madame — ne riez pas. Il a liair de vouloir commencer causer avec vous...

Młody człowiek roześmiał się serdecznie.

— Jeżeli panie sobie życzą, to można tę ciotkę wyrzucić z balkonu na dół. Ja chętnie pomogę — powiedział wesoło. Panienki śmiały się już zupełnie głośno. W następnym antrakcie zjawił się w loży jakiś znajomy owego bruneta. Obaj młodzi ludzie zaczęli półgłosem z Lalą rozmowę, do której wnet przyłączyła się Nina. Wanda szturchnęła nieznacznie Izę:

— Widzisz? — szepnęła ruchem głowy wskazując za siebie — te się tam dopiero dobrze bawią.

Rzeczywiście za plecami Madame zaczynało być bardzo wesoło. Gdy zaś ona obracała się, tamci poważnieli momentalnie, panienki patrzyły po suficie, a młodzi ludzie udawali ożywioną rozmowę. Nowoprzybyły, różowy blondyn, o brzydkiej ale miłej twarzy tak się zasiedział, że światła pogasły i musiał zostać w loży na III-ci akt. Przed samym końcem przedstawienia wyszli obaj i ku okropnej rozpaczy Lali, ani w garderobie ani w vestibulu już ich nie spotkały.

— To paskudnie z ich strony — twierdziła — mogli się przynajmniej przedstawić.

Zula była nieco odmiennego zdania.

— Przedstawić się? No, to zbyteczne; coby ci z tego przyszło. Zresztą nie wypada zawierać w ten sposób znajomości. Kto wie, co to za jedni. Nie powinnyście były w ogóle z nimi rozmawiać.

— Wiesz, przecudna jesteś z tym twoim wypada i nie wypada. Pojęcia z XIX wieku, słowo daję — szurzyła się na przyjaciółkę Lala.

Szły parami przez wyludnione nieco już ulice. Gdy przechodziły koło wielkiej kawiarni, otwarły się z impetem szklane drzwi. Z wnętrza wybuchnął charakterystyczny zapach ciastek i kawy, gwar ludzkich głosów i dźwięki jazz'u. Na chodnik wybiegli dwaj znajmi z loży, a z nimi cała gromada studentów, wesołych, rozkrzyczanych, w deklach zsuniętych fantazyjnie na ucho .W jednej chwili otoczyli gromadkę pensjonarek i ustawiwszy się parami zaczęli iść razem z nimi. Dwaj znajomi z loży ustawili się w pierwszą parę przed Izą i Wandą.

Lala kurczowo schwyciła Izę za łokieć:

— Jeżeli mnie choć trochę lubisz... błagam cię, puść mnie w pierwszą parę...

Iza zgodziła się od razu.

Madame była w rozpaczy. Co miała począć? Jak bronić zagrożonej cnoty swych pupilek?

— Teraz panie pozwolą, że im się przedstawimy — zwrócił się blondyn do idących w pierwszej parze Lali i Wandy. — Jestem Kazimierz Skotowski, a to mój przyjaciel Janek Relski.

Lala była w siódmym niebie.

— Serwus, panno Izo — posłyszała Iza tuż za sobą. Odwróciła się. Spod uniesionej w ukłonie studenckiej czepeczki patrzyły na nią łobuzersko wesołe oczy, błysnęły w uśmiechu białe zęby.

— Dobry wieczór panu — ucieszyła się. Ładne rzeczy, tak się łobuzować po nocy.

— Łobuzować! Patrzcie państwo! A paniom to może nie w smak? Proszę słówko powiedzieć, a już nas niema.

Roześmiali się oboje, ale Madame była już przy nich.

— Izza! Trés bien! Nous allons voir, quéest que mère Irene dira demain...

Chłopcom tym czasem odechciało się dalszego spaceru. Ustawili się w szpaler, salutując laskami, a gdy panienki przeszły zawrócili w stronę kawiarni. Tylko Relski i Skotowski maszerowali dalej w pierwszej parze. Tym czasem zjawił się kulawy i zezowaty Janek, stróż klasztoru, który zwykle czekał na panienki przed teatrem, a tym razem właśnie się spóźnił. Widząc co się święci, zakłopotał się bardzo.



**W Zwierzyńcu (pałac w Dreźnie) odżyły wspomnienia króla Augusta Mocnego podczas historycznego pokazu.**

— Niech panowie się namkną — tłumaczył studentom, drapiąc się w głowę, aż wyświechtany „steiferek" zsuwał mu się na oczy — akademiki, wykształcone ludzie niby to, a zachowują się gorzej nie przymierzając jak...

Lecz oni śmiali się niefrasobliwie, zagadywali ciągle do panienek, nawet Madame prawili komplementy w najczystszej francuszczyźnie. Dopiero u furty ukłonili się ceremonialnie najpierw Francuzce, po tym pannom i poszli ku miastu. Madame zła i nadęta bez słowa poszła natychmiast do siebie. Panienki pochłaniały uszykowaną dla nich w kredensie przekąskę.

— Patrzcie, nawet ciastka są — wykrzykiwała Zula.

— Możesz zjeść moje też — wspaniałomyślnie wycedziła Lala. Sama nic nie jadła tylko siedziała w malowniczej pozie na stole i piła herbatę.

— Co? Naprawdę? Bardzo ci dziękuję! Ale czemu ty nic nie jesz?

— Nie wiem. Nie mam apetytu... zdaje mi się, że jestem zakochana —

Wszystkie wybuchnęły śmiechem.

— Lala na zakochano! Najnowsze wydanie! — wykrzykiwała Nina.

— Nie rób wariata i wcinaj, bo za chwilę już nic nie będzie — wołała Iza rozbawiona.

— I który to zranił twe serce strzałą Amara — kpiła Wanda — demoniczny brunet, czy różowy blondynek?...

Lala wzruszyła ramionami.

— Niemądre jesteście — oświadczyła — idę spać.

Okazało się jednak, że żadna nie ma jeszcze ochoty spać. Wszystkie też zgodziły się na projekt Niny. Otulone w ciepłe szlafroczki poszły na schody prowadzące na strych i tam się ulokowały. Tyle przecież było do obgadania. Jak tu więc iść spać? Przez okrągłe okno widać było tor kolejowy i przebiegające po nim co parę minut pociągi, a dalej światła nad śródmieściem.

Zaczęły się zwierzenia. Lala czuła się formalnie i według wszelkich przepisów zakochana w pięknym brunecie.

— Przedstawił się, żebyście wiedziały — triumfowała — Wanda może poświadczyć.

— Owszem — przyznała Wanda — ale nie przedstawił się sam, tylko przedstawił go ten blondyn nie pamiętam, jak się nazywa (i to nie tylko tobie, ale i mnie także)!

— No nie mógł przecież inaczej, skoro już szłaś ze mną...

— Nie wiadomo, kto szedł z kim! Gwałtem się przecież pchałaś w pierwszą parę!

— Nie kłóćcie się! To wszystko nic! Żebyście wiedziały jakiego przystojniaka wyłowiła ta Iza, ta cicha woda, co to siedzi i nic nie mówi... Powiadam wam: wysoki, opalony, wytworny...

Uwaga wszystkich skierowała się teraz na Izę.

— Gadaj zaraz, kto to był — indagowała Nina — widziałam żeście się witali, to chyba jakiś twój znajomy?

Iza z uśmiechem odrzuciła w tył kasztanowatą czyprynkę.

— Nie powiem! nie bądźcie takie ciekawe...

— O nie! Nie wykręcisz się. Gadaj zaraz! To pewno twój luby i dlatego nie chcesz się przyznać. Powiesz, czy nie? — nalegały jedna przez drugą zaintrygowane panny.

— Zaraz tam „luby"! Laleczko, nie sądź po sobie! — odcięła się Ira. — Zresztą już wam powiem, bo czuję, że żadna z ciekawości nie uśnie. To jeden z sąsiadów Brzozowa, Andrzej Łopuchowski. Jest na rolnictwie.

— Andrzej, śliczne imię — osądziła Zula.

— Powiedz! kocha się w tobie? — indagowała Nina.

— W tym właśnie cały sęk, że nie — roześmiała się Iza. Wanda spojrzała na nią uważnie. Czyżby jej się zdawało tylko, że trochę goryczy kryło się w tym uśmiechu?

— Ach! strasznie mi cię żal — szepnęła z przejęciem Lala.

— Czemu? Przecież ja się w nim nie kocham, a nie mam tej ambicji, by siać wokoło spustoszenie w sercach męskich. — I Iza śmiała się już zupełnie naturalnie.

— Patrzcie! Irka śpi — szepnęła Zula.

Ira podniosła głowę.

— Nie, nie śpię, ale jest mi zimno i zaraz idę spać. Radzę wam zrobić to samo bo nie rozumiem ,co za przyjemność tu wysiadywać i gadać o głupstwach.

Iza pogładziła ją lekko po ręce.

— Ireezko, nie bądź za surowa dla nas! I zrozum — nie każdy ma taki „matematyczny" umysł ,jak ty. Miłość — to jest coś, co nas czeka prędzej czy później wszystkie, to najważniejsza ze spraw życia i przecież bardzo przez każdą upragniona. Cóż więc dziwnego, że chętnie o tym myślimy i rozmawiamy. A zresztą trudno ciągle tylko o fizyce lub o Żeromskim. Ja wiem, że ty jesteś inna, ale powinnaś się też starać się zrozumieć.

— Inna jestem? Może nie normalna, co? — Ironia dźwięczała w czystym głosie Iry. — Nie, moja droga — nie jestem inna, tylko — wybaczcie — dojrzalsza. Rozumiem już wiele rzeczy i patrzę trzeźwo na życie. Pozbyłam się złudzeń i iluzyj już dawno. Miłość!! — przestałam już myśleć kategoriami Mniszkówny, choć i ja kiedyś płakałam rzewnie nad „Trędowatą". Miłość — ta istnieje na ekranie i w literaturze dla ogłupiania naiwnych pensjonarek, ale w życiu jej nie ma, czy słyszycie? Nie ma! Jest tylko namiętność, pociąg seksualny i na tym koniec. Ja nie jestem inna, o nie! Tylko wy chodzicie jeszcze w różowych okularach.

Zrobiło się cicho. Pensjonarki milczały powarzone. Ta Ira taka zawsze dziwna... Co jej jest? Przecież chyba nie ma racji?... Było im nieswojo.

— Możliwe, że my jeszcze pod wieloma względami patrzymy na życie przez różowe okulary — zaczęła cicho Iza — ale to nic, tak być powinno. Te różowe szkła, to nasza młodość ufna i pogodna. Ale ty, Irko, jesteś „inna" od nas, na pewno. Ty patrzysz na świat przez czarne okulary przedwczesnej dojrzałości. Czasem mi cię żal... pozbawiasz się dobrowolnie tylu dobrych, miłych wrażeń i uczuć. Ale ja jestem pewna, że to przejdzie — bo to wszystko dlatego, że twoje serce śpi. Nie oburzaj się na mnie — śpi na pewno, bo gdyby tak nie było, to musiałabyś pomyśleć, że nie masz serca wcale, a tak przecież nie jest, prawda?

— Może i nie mam serca wcale — szpnęła bardzo cicho Ira. Po tym podniosła się gwałtownie — idę spać i radzę wam zrobić to samo. Dobranoc.

Gdy biała jej postać zniknęła w korytarzu, pierwsza odezwała się Nina:

— Dobrze jej odpowiedziałaś. Ona jest niemożliwa... Dojrzalsza od nas — patrzcie ją! Nienormalna jest i tyle!

— Nie mów tak! mnie jej żal — broniła nieobecna Iza. — Kto wie co ona już przeżyła. Cóż my o niej wiemy? Nic! Taka jest zawsze skryta i jakaś daleka.

— Ciekawam co ją skłoniło dziś do takiej szczerości; mnie jej też żal — dodała Wanda. — Ale teraz chyba też pójdziemy spać, przecież La'a i Zula już chrapią!

— A jutro awantura z Mistrzynią. Żebyście wiedziały jak madame syczała nade mną, gdy rozmawiałam z Andrzejem.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

# Przeklęty spadek

POWIEŚĆ SENSACYJNA

— Jakże, przecież otrzymaliśmy od pana radiotelegram, nadany z „Shenandoah" — zawołał. — Zaraz go panu pokażę...

Inspektor odczytał ze wzburzeniem:

„Proszę pierwszym okrętem odpłynąć do Stanów. Powody nadzwyczaj ważne. Thompson."

— Telegram jest sfingowany! — zawołał. — Żadnej w ogóle depeszy nie nadawałem. Widzę tu znowu rękę Masske'a! Ach, zaczynam powoli rozumieć...

Przeszli na tył okrętu.

— To jasne, moi państwo! — rzekł. — Kompan zabójcy Rozenbluma, podsłuchawszy naszą rozmowę, niewątpliwie porozumiał się z gagatkami, śledzącymi nas na „Shenandoah". Zależało im dla jakichkolwiek powodów, abyście państwo nie prosili komisarza Snowden'a o interwencję w sprawie chodnika pod opactwem. Chcą najwidoczniej zyskać na czasie, — lecz przecież i tak mieliby co najmniej kilka dni do dyspozycji...

Potarł ręką czoło.

— Rozumiem! Muszę ukończyć jakieś roboty ziemne, wymagające dłuższego czasu. Gdyby Snowden spowodował zasypanie, albo zatopienie chodnika, wszystkie ich plany wzięłyby w łeb. Dlatego sfingowali telegram, aby jak najdłużej odwlec interwencję władz. Ale to się im nie uda!

Pobiegł do kabiny radiotelegrafisty i już po chwili biegły z „King George I" ważkie informacje dla komisarza Snowden'a...

Inspektor wrócił na pokład, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Pokrzyżowałem im plany, prędzej, niż się tego spodziewali!

Spojrzał na O'Sullivan'a i twarz jego zasępiła się: cios, zadany szajce w Anglii bynajmniej nie zapewniał bezpieczeństwa missis O'Sourke... A Sylwa? A Nosek? A Lo-Wo?...

— Jeżeli nadali telegram z „Shenandoah"... — westchnął. — Gdybyż tak mieć samolot!

— „King George I" posiada hydroplan — rzekł mr. Stevenson, zrozumiawszy myśl inspektora. — Sądzę, że kapitan zgodziłby się...

Ale mr. Thompson'a nie było już na pokładzie: pobiegł do kapitana. Przedstawił mu legitymację, częściowo wtajemniczając go w swoją rolę i udało mu się bez trudu uzyskać jego zgodę na skorzystanie z hydroplanu.

W pół godziny później stalowy ptak szybował już w stronę Stanów, w pogoni za „Shenandoah".

Inspektor zdołał jeszcze dyskretnie oznajmić miss Stevenson, że, o ile nie zajdzie nic oczekiwanego, rad będzie porozmawiać z nią w cztery oczy w hotelu „Washington" w New Yorku...

— — — — — — — — —

Nie wiele godzin minęło, gdy na widnokręgu ukazała się sylwetka okrętu, w której mr. Thompson natychmiast rozpoznał cel swego pościgu. Z niecierpliwością przypatrywali się wraz z O'Sullivan'em, jak z każdą minutą parowiec powiększał się w ich oczach, a kiedy wreszcie hydroplan zwodował opodal okrętu, nie czekając na szalupę, wpław rzucili się do drabinki sznurowej, którą spuściła im załoga.

W parę minut później wpadli jak burza do swej — tak nieoczekiwanie opuszczonej kajuty, wywołując radosne zdumienie j j lokatorów.

Daisy była zapłakana, Ellen ponuro zamyślona. Jeden tylko Sylwester zachował spokój; wierzył głęboko, że inspektor powróci, choćby nie wiedzieć jakie tarapaty przeżywał.

— Czy nie mówiłem!? — wykrzyknął triumfalnie, zwracając się do dziewcząt. — Już to nasz monsieur zawsze wyjdzie obronną ręką z najgorszej sytuacji!

— Widzę, że nic nie zaszło podczas naszej nieobecności — rzekł wesoło mr. Thompson, stwierdziwszy, że wszyscy są zdrowi i cali.

— I tak i nie... — z ożywieniem rozpowiadał Sylwester. — Gdy panów nie było widać do nocy, miss Ellen wszczęła alarm u kapitana. Przeprowadzono śledztwo i okazało się, że ani panów, ani trzech innych pasażerów nie ma na statku. Byli to jacyś dwaj Chińczycy i jeden Europejczyk, zajmujący razem kajutę III klasy. W kajucie tej znaleziono ślady krwi, a poza tym stwierdzono, że zniknęła szalupa i cztery koła ratunkowe, co zresztą złożono na karb cyklonu. Nikt nie mógł sobie jednak wytłumaczyć, dlaczego odcięta była kotwica od kabestanu i dlaczego pociął ktoś zapasową linę. Wywnioskowano z tego wszystkiego, że na okręcie rozegrała się jakaś tajemnicza tragedia...

— Cokolwiek nie zaszło — mruczał inspektor — złoczyńców na pewno nie ma już na „Shenandoah", niewątpliwie bowiem wykonaliby dotąd swoje zbrodnicze plany...

Raz jeszcze rozejrzawszy się dokoła udał się do kajuty kapitana, chcąc uprzedzić jego wizytę i indagacje.

Na korytarzu międzykajutowym wskoczyła mu na ramiona mała małpka, kurczowo tuląc się do niego. Domyślił się od razu, że było to maleństwo, które wciągnęło w zasadzkę O'Sullivan'a. Teraz, osamotnione, kierując się nieomylnym instynktem, znalazło życzliwą istotę. Mr. Thompson chętnie przygarnął zwierzątko, które nieraz miało mu być pomocne w wielu zagadkowych sprawach, jakimi się zajmował.

Dalsza podróż transatlantycka minęła zupełnie spokojnie. Inspektor, spacerując po pokładzie, obserwował goniące się nieustannie fale i rozmyślał.

— Tak, — mruknął w końcu — plan z chodnikiem pod opactwem nie udał się im stanowczo! Oby nie udał się i ten drugi... — dodał po chwili, a na twarzy jego odmalowała się troska.

## XXVI.

## ŚMIERĆ ELLEN

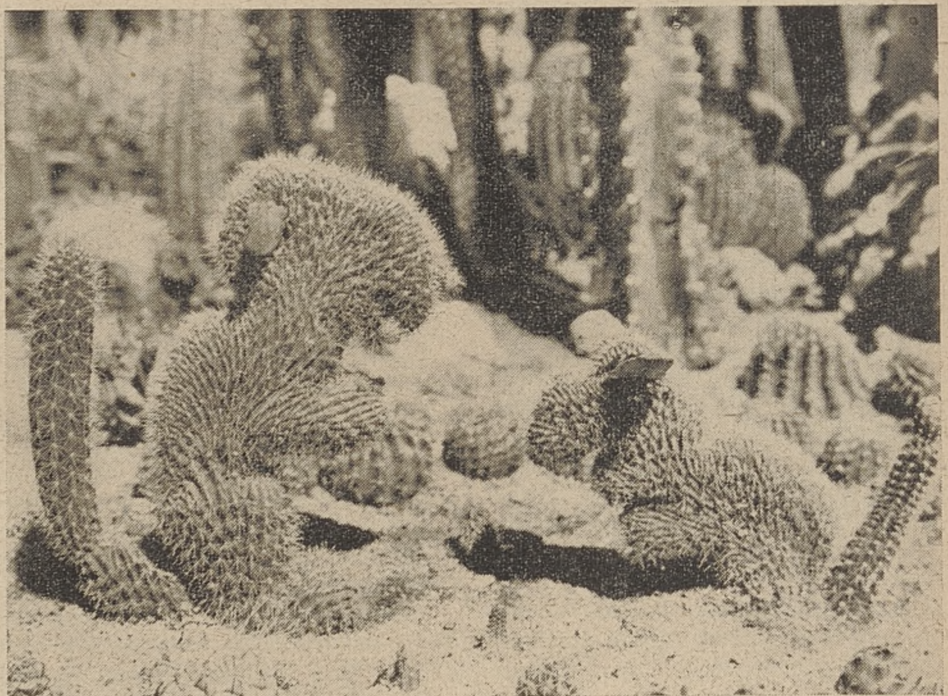
„Shenandoah" wylądował w New Yorku 26 października o godzinie 12.30 w południe, a więc z kilkunastogodzinnym opóźnieniem, spowodowanym cyklonem.

Mr. Thompson klął, nie krępując się niczyją obecnością, nietrudno tedy wyobrazić sobie jego wzburzenie, gdy bezpośrednio po zejściu z pomostu, wiodącego z okrętu do portu, otoczyła ich grupa policjantów. Dowodzący oficer oznajmił im sucho, że są aresztowani i że w dyrekcji policji dowiedzą się, o co chodzi.

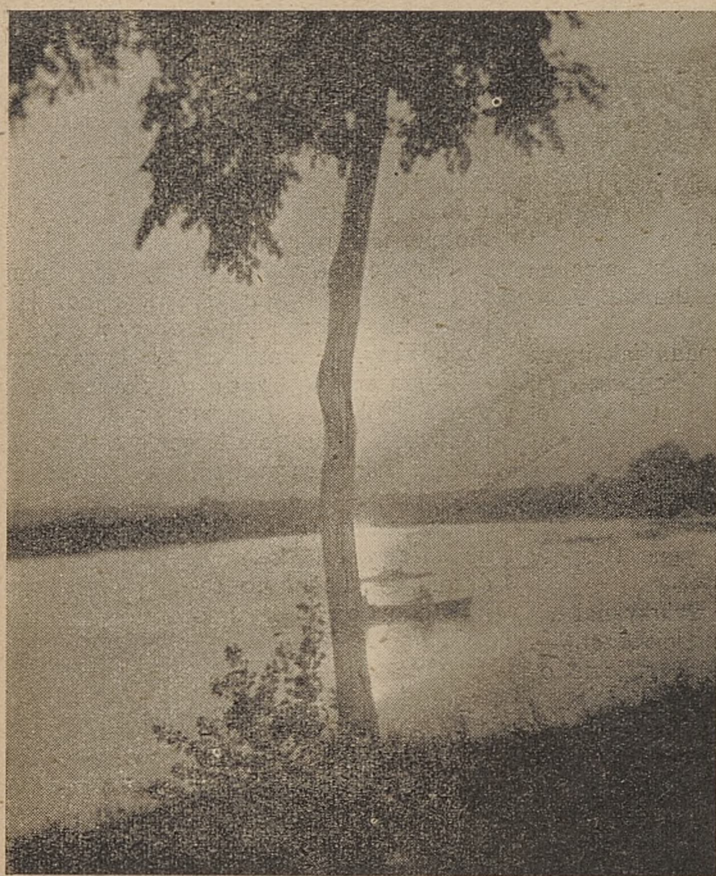
Pomimo protestów wpakowano ich do olbrzymiego samochodu i zawieziono w głąb miasta.

Inspektor podejrzewał zrazu, że owi policjanci są po prostu zamaskowanymi bandytami, rychło jednak przekonał się o swym błędzie. Automobil zatrzymał się rzeczywiście przed dyrekcją policji.

Policjanci wprowadzili zatrzymanych przed oblicze dyrektora, człowieka młodego jeszcze. Obejście jego wskazywało wszakże, że posiada on duże doświadczenie w walce ze światem przestępczym.



**Kaktusy w kształcie wiewiórek zdołał wyhodować pewien ogrodnik w Kalifornii. Uprasza się nie głaskać!**



Jezioro przy księżycu.

Gdy mr. Thompson, oburzony aresztowaniem, przedłożył mu dokumenty i powołał się na swoją fotografię, którą posiadał każdy urząd policyjny w większych środowiskach Europy i Ameryki, dyrektor odrzekł z wieloznaczącym uśmiechem:

— Nie twierdzę bynajmniej, że nie jest pan ogólnie zresztą znanym inspektorem Yardu, Richardem Thompson'em i że pańskie towarzyszki i towarzysze są przestępcami, lecz rozumie pan chyba, że jeśli otrzymaliśmy ostrzeżenie ze źródeł jak najbardziej zasługujących na zaufanie, musimy sprawdzić informacje, a do tego czasu zachować odpowiednie środki ostrożności. Jako detektyw Yardu, dobrze obeznany z ciężką pracą policyjną, powinien pan dobrze wiedzieć, że istnieją na świecie sobowtóry ludzi nierzadko bardzo szanowanych, które, korzystając ze swego podobieństwa, płatają tysiączne figle wymiarowi sprawiedliwości... A że nic łatwiejszego jak fałszować dokumenty, to chyba każdy człowiek wie...

Uśmiech jego stał się trochę drwiący, co jeszcze bardziej rozsierdziło mr. Thompson'a. Zrozumiał, że nic nie wskóra i zaprzestał nalegań.

49 godzin przesiedzieli w areszcie policyjnym, zanim wreszcie sprawdzono ich identyczność w Scotland Yardzie.

Uwolniono ich z honorami, przepraszano postarano się nawet do Chicago. Na lotnisko odwiózł ich sam dyrektor policji, szczerze zmartwiony błędem, jaki popełnił w dobrej zresztą wierze. Postanowił zainteresować się bliżej niefortunnymi informatorami, począł bowiem dopatrywać się w nich wspólników międzynarodowej bandy, która zagięła parol na 3-milionowy spadek po Stanford'zie.

— Mamy niewiele czasu! Niecałe 45 godzin — rzucił inspektor spadkobiercom, gdy samolot wystartowywał do Chicago.

Rozjątrzony przeszkodą, której najmniej mógł się spodziewać, nie zauważył porozumiewawczego spojrzenia, jakie zamienili pilot z obserwatorem. Nic tedy dziwnego, że gdy w godzinę później aeroplan wylądował na jakiejś polance, otoczonej dokoła wysokimi wzgórzami, inspektor był zaskoczony.

— Przymusowe lądowanie; defekt motoru — objaśnił pilot, zagadnięty o powód. Twarz jego wykrzywił jednak szyderczy uśmiech, dostrzegł bowiem kilkanaście konnych postaci, zjeżdżających galopem z pobliskiego wzgórza.

Lecz — na jego nieszczęście — dostrzegł je i mr. Thompson. Z zimną krwią sięgnął do kieszeni i wydobywszy rewolwer, skierował lufę w pierś pilota, mówiąc zimno:

— Liczę do trzech. Jeżeli w tym czasie nie zajmie pan swojego miejsca i nie wprowadzi w ruch motoru — wystrzelę.

— Czy to terror?... — wybełkotał lotnik.

— Raz!

Stojący na uboczu obserwator wyciągnął ukradkiem rewolwer i wymierzył do inspektora, lecz czujny na wszystko O'Sullivan jednym uderzeniem pięści rozciągnął go na ziemi. Tymczasem tajemniczy jeźdźcy, w których mr. Thompson domyślił się wspólników bandytów, zbliżali się z każdą chwilą.

— Dwa!

Pilot wahał się jeszcze, lecz na jego pobladłej twarzy malował się lęk.

— Trzy!

Lotnik w rozpaczliwym odruchu otwarł drzwiczki swej kabiny, wskoczył do niej i puścił w ruch motor. Inspektor odetchnął z widoczną ulgą, zajmując swoje miejsce.

Stalowy ptak sunął jakiś czas po trawie, a potem zwolna wzbił się w powietrze.

Z dołu posypały się za nim strzały rewolwerowe, ale z takiej odległości były już nieszkodliwe.

— Radzę lecieć we właściwym kierunku! — wrzasnął mr. Thompson w ucho pilota. — Mam kompas, nie dam się oszukać.

Mrugnął łobuzersko w stronę Sylwestra, kóry uśmiechnął się nienacnie w odpowiedzi. Wiedział dobrze, że jego pan nie posiada kompasu i że właściwie zdani są w zupełności na dobrą wolę lotnika...

Pilot jednak, cokolwiek łączyło go z bandą złoczyńców, był zbyt przerażony, ażeby myśleć o zdradzie. Późną nocą wylądowali na lotnisku w Chicago, po czym samochodem, należącym do zarządu lotniska, zajechali bez przeszkód do hotelu „Metropol", mieszczącego się niemal naprzeciw domu, w którym zamieszkiwał mr. Murphy, notariusz.

Pomimo szumnej nazwy, hotelik ten był bardzo skromny i niepokaźny, mr. Thompson jednak zdecydował się spędzić w nim resztę nocy.

Właścicielka, starsza, o poczciwej twarzy niewiasta, zarekomendowała im dwa, łączące się z sobą pokoiki na drugim piętrze. Inspektor, przezornie obejrzawszy inne numery, zgodził się na jej wybór. Oprócz drzwi wewnętrznych, każdy z pokojów posiadał wyjście na korytarz, biegnący przez całą długość domu. Jeden z nich posiadał duże okno, drugi — oprócz okna — wyjście na obszerny balkon, skąd roztaczał się widok na ulicę. Na pierwszym piętrze również znajdował się balkon, co zdawało się budzić zadowolenie inspektora.

Po kolacji, którą mr. Thompson, w obawie, aby nie podano im zatrutych potraw kupił w mieście, missis O'Sourke ułożyły się do snu, inspektor zaś wraz z O'Sullivan'em i Sylwestrem postanowili czuwać.

Noc wszakże minęła spokojnie, jakby niebezpieczni prześladowcy zrezygnowali z dalszej akcji...

— — — — — — — —

Zbliżała się jedenasta: za godzinę miał nadejść moment realizacji testamentu.

Mr. Thompson, uznawszy, że jest to najodpowiedniejszy czas, aby opuścić hotel i udać się do notariusza, ujął za klamkę, aby, jak mówił, jako awangarda otworzyć pochód spadkobierców.

Lecz drzwi były zamknięte, a wyjście z drugiego pokoju również nie dawało się otworzyć...

Do uszu inspektora dobiegły gdzieś z dołu zmieszane krzyki. Zdawały się być dyktowane przerażeniem, spiesznie tedy dobył z kieszeni pomysłowo skonstruowany scyzoryk, posiadający przyrząd do otwierania mniej skomplikowanych zamków — i po kilku sekundach drzwi stały już otworem.

Mr. Thompson wyszedł z pokoju, natychmiast jednak cofnął się: cały korytarz wypełniony był gęstym, gryzącym dymem, pośród którego raz po raz ukazywały się długie języki ognia — — —

Inspektor zaklął i na powrót zamknął drzwi na klucz, po czym, wydobywszy z walizki mocną linkę, wyszedł na balkon, uważnie rozglądając się dokoła. Na zewnątrz nie widać było pożaru...

Spiesznie przywiązał linkę do balustrady balkonu, mówiąc do Sylwestra:

— Musisz pierwszy spuścić się na balkon na pierwszym piętrze. Zajrzyj niezwłocznie z rewolwerem w ręce do pokoju pod nami! Miej oczy i uszy otwarte!

Stary wiarus uśmiechnął się, przeszedł przez balustradę i pochwycił linkę. Po chwili dawał już znak, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

— Na pana kolej, mr. O'Sullivan! — rzekł mr. Thompson.

Dokończenie w nast. numerze.

# RAJ KOBIET



Sport w lecie jest cudowną rzeczą. Uprawiają go panie na stadionach i na plaży, w powietrzu i w wodzie — wszędzie.
A oto jazda na wrotkach, sport miły i łatwy, mający jeszcze tę zaletę, że można do niego ubrać się w ładną sportową sukienkę, która doda uroku i kobiecego wdzięku prężnej, wygimnastykowanej sylwetce.

## *Maria Kalergis*

Osobą Marii Kalergis społeczeństwo polskie nie interesowałoby się może wcale, gdyby nie fakt, że łączą się z nią trzy znakomite nazwiska: Chopina, Moniuszki i Norwida. Bo to, że była wielką i słynną damą kosmopolitycznego high-life'u ubiegłego stulecia nie przemawia jeszcze za tym, aby jej osobą zajmować tak często czytającą publiczność. Gdy się jednak dowiemy, że p. Kalergis-Muchanow, zwana przez współczesnych jej „Białą Syreną", jako znakomita pianistka była uczennicą Fryd. Chopina, a w latach dojrzałych namiętną entuzjastką i protektorką Moniuszki, gdy się zauważy, jaką ogromną rolę odegrała w życiu niedocenianego wówczas, a dziś wracającego do łask i uznania krytyki — Norwida, zrozumiemy postać jej i przyczyny, dla których od czasu do czasu zjawia się na kartach naszej literatury.

Oto niedawno za witrynami księgarskimi ukazała się interesująco napisana książka Róży Czekańskiej — Heymanowej p.t. „Maria Kalergis".

Ta słynna niegdyś na dworach Europy piękność urzeka i dziś jeszcze od czasu do czasu piszących tak dalece, że poświęcają jej sporo pracy i starań, by na wiernie historycznym tle odmalować jej postać i dość burzliwie życie tej interesującej damy, pełnej niezaprzeczenie kobiecego uroku. Ostatecznie jednak powieść Róży Czekańskiej nie jest rewelacją. Już przed laty w r. 1923 we francuskiej La Revue de Paris zamieścił Konstanty Photiades bardzo zajmująco napisane studium biograficzne o Marii Kalergis, o czym pisał w jednym ze swych lekkich, ale miłych szkiców literackich F. Hoesick. A więc, pomijając już ustną tradycję o pięknej pani Marii, dowiedzieli się wtedy czytelnicy polscy o wielu szczegółach prywatnego życia tej „niepospolicie utalentowanej kobiety", która w okresie popowstaniowym odgrywała w Warszawie rolę pierwszorzędną; o której względy ubiegali się najwięksi artyści i pisarze ówcześni, a która w korowodzie wielbicieli i hołdowników liczyła nawet koronowane głowy Europy. Pan Photiades nie zwrócił wtedy uwagi na szarą skromną postać Norwida w tym strojnym i rojnym tłumie adoratorów pięknej damy, ale nasi norwidologowie z Krechowieckich na czele poświęcają w swych studiach o poecie szereg wierszy i tej jego tragicznej miłości, zakończonej dramatycznie po przejażdżce gondolą w Wenecji.

Jak więc widzimy, materiał związany z życiem M. Kalergis miała p. Czekańska nie mały. Książka jej nie przyniosła żadnych „rewelacyj", nie starała się autorka o jakieś syntetyczne studium w życiu ubóstwianej Norwida, dała nam powieść starannnie napisaną, poprawnym językiem i stylem, ale przeznaczoną dla szerokich mas czytelników, a więc utrzymaną na poziomie jak największej przystępności.

Prawdopodobnie studium naukowe M. Złotożyckiej, które się ma ukazać naświetli w sposób bardziej naukowy i obiektywny rolę „Kalerdżyny" w życiu wielu sławnych ludzi.

Wracając do książki p. Czekańskiej, podkreślić trzeba dwie zasadnicze rzeczy, rzucające się wyraźnie w oczy: oto całkiem trafnie nie wyolbrzymiła autorka roli Norwida w życiu płochej Marii, która chociaż w naszym poemacie wzbudziła najgłębsze uczucie, nie odwzajemniła jego wierności. Za to pod innym względem zda się przesadzać Heymanowa — to z patriotyzmem polskim p. Kalergis, którego nieliczne i nikłe odruchy nasuwają autorce refleksje o tragicznych przeżyciach Marii w związku z uczuciami narodowymi. A tym czasem kosmopolityzm Kalergis - Muchanowej jest faktem stwierdzonym i bardzo słusznie zauważył znakomity pisarz Stanisław Wasylewski, że „polskość pani Marii Muchanow z domu Nesselrode była jednym z licznych filarów jej życia". O! — bo flirt w życiu Marii Kalergis grał bardzo dużą rolę, lista adoratorów zda się ciągnąć w nieskończoność.... tak, że złośliwe powiedzenie Heinego może się wydać dość licznym zawsze purytanom nie tylko dowcipne ale i wcale... trafne (Sie ist selbst ein Pantheon, wo grosse Männer ruhen).

A oto jak na podstawie tradycji i najrozmaitszych materiałów przedstawiało się życie tej bodaj czy nie najsławniejszej postaci niewieściej XIX wieku. Urodziła się w Warszawie w r. 1822 jako jedyna córka ówczesnego szefa żandarmerii Fryd. hr. Nesselrode. Dzieciństwo spędziła w domu stryja w Petersburgu pod opieką francusko - niemieckich pedagogów. Zdolna, śmiała, wybitnie utalentowana w zakresie muzyki była typowym dzieckiem salonów, zbierającym na popisach oklaski i pochwały największych znakomitości muzycznych za swą grę. To jej musiało dodawać śmiałości i pewności siebie. „Niepospolita uroda" oraz „fenomenalna białość cery" rychło uczyniły ją sławną i uwielbianą. Nie mając nawet 16 lat wychodzi za mąż za bogacza greckiego Jana Kalergis, by w 17 roku życia już jako rozwódka rozpocząć swój triumfalny pochód przez salony całej Europy. Uroda i bogactwo (zazdrosny mąż musiał płacić duże alimenty) przyczyniły się w niemałym stopniu do bujnego życia pięknej Marii. Zalotna i nie mająca skrupułów wprzągała raz po raz do swego „rydwanu" sławy i gwiazdy ówczesnej epoki. Musset, List, Wagner rychło ulegli wdziękom nadobnej kusicielki.

Biorąc lekcje muzyki u Chopina w Paryżu w r. 1847 zdobyła sobie jego przyjaźń, jak również jego przyjaciela malarza Eug. Delacroix. Teofil Gautier pisze na jej cześć słynną „Białą Symfonię", a i złośliwy Heine poświęcił jej kilka pięknych wierszy. „Łączyła ją przyjaźń z Brahmsem, z Saint Saënsem, z Berliozem... a w Polsce z Żeleńskim nie mówiąc już o Moniuszce". (Hoesick) Malarze na wyścigi zabiegali o jej względy, jak Kaulbach, Böcklin i Lenbach który wykonał jeden z najlepszych jej portretów. Sama wielbicielka Szopenhauera poznała Nietschego, składał jej hołdy Dumas syn i wielu innych francuskich pisarzy. Najznakomitsi poeci i artyści kochali się w niej „do szaleństwa", cóż więc dziwnego, że i nasz Norwid uległ czarowi pięknej blondynki i po-



Wymowne „wczoraj" i „dziś" w kostiumach kąpielowych pań.
Zgrabna modelka po lewej prezentuje nam nowoczesny modny kostium, obcisły i wygodny, wykonany z tkaniny przerabianej nićmi z aluminium — modelka po prawej nosi strój kąpielowy z epoki wiktoriańskiej.
Czytelniczki same zadecydują, który z powyższych modeli czyni estetyczniejsze wrażenie, dając zadowolenie naszemu zmysłowi harmonii i piękna.

kochał ją głębokim uczuciem. Maria Kalergis bawiła się poetą, tak jak się bawiła innymi swymi wielbicielami. Należała ona do kobiet, dla których hołdy mężczyzn zdają się stanowić jedyny cel życia, a zachwycone spojrzenia są najlepszym i jedynym bodźcem do spełnienia nawet... miłosiernych uczynków. (O wstawianiu się po zamachu stanu za uwięzionymi do Ludwika Napoleona wspomina St. Koźmian). Już to wiedziała pani Kalergis, jak jej do twarzy z taką filantropią i jak to wzrusza nie tylko koronowane głowy, ale przede wszystkim szeroką opinię. Kokietowała otoczenie nie tylko urodą ale i miłosierdziem.

Tylu znała mężczyzn, a jednak nie znała miłości. Prawdę powiedziawszy, mało nas wzrusza i roztkliwia ta „pustka w duszy" żony pułkownika Muchanowa. Gdy otworzyła swój salon w Warszawie około roku 1860, a więc po trudach zagranicznego wojażu, bywalcy jej domu z Moniuszką i Antonim Rubinsteinem na czele dość się nasłuchali emfatycznych westchnień i pełnych egzaltacji słów na tematy „patriotyczne". Ojciec jej był zrozpaczony po przyjeździe córki z zagranicy, skąd twierdził, „wróciła zupełnie szalona, bardziej ultra-Polką niż stary Lelewel". A jednak około roku 1863 sama ona napisała takie wyznanie: „Kiedyś marzyłam o odbudowie Polski, dziś tego wcale nie pragnę, bo to naród zbyt demagogiczny". Na tle tych słów dojrzałej wtedy i politycznie wyrobionej kobiety, jaką w tym czasie była Maria Kalergis, dziwnie odbija głośny przez nią reklamowany patriotyzm, co do którego niejeden polski czytelnik może mieć wiele zastrzeżeń.

Jedno nie ulega wątpliwości, że była to kobieta urocza i niezwykła, zajmująca zarówno jako artystka jak i jako „polityczna" dama. Można się także zgodzić ze zdaniem dyplomaty angielskiego Rumboldta, twierdzącego iż „ „adna kobieta owego czasu nie była przedmiotem tak szczerego i głębokiego podziwu, jak pani Kalergis". Ale dziś? — dziś nie możemy patrzeć na panią Kalergis-Muchanowową oczyma zachwyconych i zakochanych w niej causerów europejskich! Tymczasem pani Czekańska-Heymanowa nie szczędzi swej bohaterce poetycznych określeń: „przez dwory królów, przez pracownie artystów, izby ubogich przesunęła się jak smuga zapachu, barwa kwiatu, płomień światła". Czyżby autorka była oczarowana piękną panią Marią, tak jak nią oczarowani byli powstańcy styczniowi?

Bo jednak wielu czytelników powieści Róży Czekańskiej-Heymanowej, zapoznając się z błyskotliwym i burzliwym życiem Marii Kalergis, patrzy na nią tak, jak się ogląda portret wielkiej damy kosmopolitycznego high-life'u z ubiegłego stulecia, to znaczy z dużym zainteresowaniem, ale i nie bez sporej dozy krytycyzmu.

*Mgr. Helena Bartoszek-Zastawniakowa.*



Moda jest jak morze — ma swoje przypływy i odpływy, odejścia i powroty.
Powyższy model sukni popołudniowej w wąskie paski, lansowany w Paryżu, jest znamiennym wyrazem powrotu fasonów, noszonych jeszcze tak niedawno z wdziękiem i satysfakcją przez nasze babki.

## Odezwa do społeczeństwa wielkopolskiego

W ostatnich czasach staliśmy się świadkami godzenia naszego zachodniego sąsiada, Rzeszy Niemieckiej, w całość naszego bytu państwowego, a w szczególności w nierozerwalność Pomorza i Wolnego Miasta Gdańska z Państwem Polskim, które przez Pomorze i Gdańsk, odwieczne ziemie polskie ma nieskrępowany dostęp do morza.

Dążenia te spotkały się z natychmiastową i zdecydowaną reakcją Narodu Polskiego, który czynem ofiarnym krwi i mienia gotów jest bronić swoich granic.

Hasło „Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da" jest dzisiaj zawołaniem najaktualniejszym poruszającym miliony serc Polaków.

W imię tego hasła odbywa się w obecnej chwili ofiarny wyścig dozbrojenia Armii Polskiej, a w szczególności jej sił obronnych na morzu, które bronić mają naszego swobodnego dostępu do morza.

W ogólnym wyścigu ofiarności na cele Polskiej Marynarki Wojennej również województwo poznańskie, które tyle złożyło dowodów ofiarności na cele publiczne, nie może pozostać w tyle i zrealizować winno złożone w swoim czasie przyrzeczenie, że zaofiaruje Polskiej Marynarce Wojennej ścigacz swojego imienia.

W celu jak najszybszej realizacji tego zamierzenia zwracamy się do Społeczeństwa Wielkopolskiego z gorącym apelem o poparcie akcji składkowej na ścigacz torpedowy „Poznań" w drodze powszechnej zbiórki ofiar, w której nie powinno zabraknąć nikogo.

Hasło „Dozbrójmy Polskę na Morzu" niech będzie bodźcem w szlachetnym wyścigu ofiarności, w którym Wielkopolska powinna zająć należne jej miejsce.

Przewodniczący Okręg. Sekcji Obr. Morskiej: Ludwik Begale, Poznański Starosta Krajowy.
Prezes Okręgu Pozn. LMK. dr. St. Pawłowski, Profesor U. P.
Skarbnik Okręgowej Sekcji Obrony Morskiej: Stanisław Podolak.

## 66 % zniżki kolejowej do Pińska 4-ty jarmark poleski

Najbliższą imprezą organizowaną na Ziemiach Wschodnich na wielką skalę jest Jarmark Poleski, który odbywa się w Pińsku w okresie od dnia 15 sierpnia do 3 września b. r. Jest to wielka regionalna impreza sportowo-turystyczna, mająca na celu zobrazowanie stanu gospodarczego Polesia oraz nawiązanie stosunków handlowych i intelektualnych między poszczególnymi regionami Polski.

Na Jarmark Poleski, będący już z kolei czwartym Jarmarkiem, organizowanym w Pińsku, będą przysługiwały 66% zniżki kolejowe w obie strony.

Kto nie był jeszcze w Pińsku, kto nie zna uroku poleskiego krajobrazu — niech korzysta z okazji, aby poznać tę jedną z najoryginalniejszych i najbardziej dzikich części Polski.

Zwiedzenie pawilonów wystawy Jarmarku Poleskiego da całkoształt pojęcia o życiu gospodarczym i możliwościach turystycznych Polesia. Udział w Jarmarku rozmaitych gałęzi przemysłu, handlu, rzemiosła i rolnictwa z całej Polski umożliwi w przyszłości sprzedawcom i nabywcom nawiązanie ściślejszych stosunków handlowych pomiędzy pozostałymi rejonami, a tą wciąż trochę jeszcze „zapomnianą" częścią Polski.

### RZECZY CIEKAWE Z ŻYCIA KOBIET

## Kongres kobiet z wyższym wykształceniem w Sztokholmie

W Sztokholmie rozpoczął obrady kongres kobiet z wyższym wykształceniem, w którym bierze udział delegacja polska pod przewodnictwem lektorki p. Stanisławy Adamowicz. W prasie szwedzkiej ukazały się wywiady z przewodniczącą delegacji polskiej, w których zobrazowała ona stan równouprawnienia i działalność zawodową kobiet w Polsce, oraz jako prof. Państw. Szkoły Higieny skreśliła zakres działalności tej instytucji oraz stan higieny społecznej w Polsce.

W Sztokholmie odbył się również międzynarodowy kongres tańca ludowego. Na końcowym posiedzeniu podziękowanie organizatorom i gospodarzom kongresu w imieniu delegacji polskiej złożyła w języku szwedzkim redaktorka Buczyńska, co spotkało się z powszechnym aplauzem zebranych.

## Kobiecy monopol

Na Kubie istnieje ustawa, która zabrania mężczyznom handlować... damskimi ubiorami. Przywilej ten przysługuje wyłącznie kobietom.

EUGENIUSZ SEW.

## Dziewczę szmaragdowej puszty

(NOWELA)

(Dokończenie).

Jesienią odbywały się rok rocznie gonitwy o nagrodę królewską. Zawrotna suma pół miliona pengö, połączona z loterią — ściągały na peszteński tor zastępy co przedniejszych koni, nierzadko i spoza granic królestwa. Wyścigi trwały cały tydzień i stanowiły pewnego rodzaju atrakcję nie tylko stolicy, ale całych Węgier.

Przeglądając tygodniki — spostrzegła Marika notatkę, o udziale w tegorocznych biegach 2 pułku Honwedów.

— Ciociu! — uradowana wykrzyknęła Marika — kasztan będzie biegał u nas!

— Gdzie to napisane? — wkładając okulary i wodząc grubą ręką po zwrotkach druku, pytała staruszka.

— Nie napisane, ale ja wiem! Jakże może być inaczej? Kasztan — ten wicher puszty, ta perła znad Csaby — nie zwróciłby uwagi takiego znawcy koni, jak Gejza? Zobaczysz — będzie biegać i jeszcze jak! Ty nie znasz kasztana — nie było mu równego konia nad Cisą, ba nawet nad Kiereszem...

Marika liczyła tygodnie, a obecnie dni, oddzielające ją od terminu gonitwy o nagrodę królewską. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy Gejza Jokai poprowadzi jej kasztana do zwycięstwa. Wierzyła w konia, jak w aksjomat — była pewna, że nikt poza kasztanem nie może zdobyć tegorocznej nagrody.

Z zapartym oddechem wyglądała z progu cukierenki w oznaczonym dniu gonitwy, wystąpienia Honwedów. Klasnęła w dłonie i wybiegła tuż przed barierę, gdy poznała kasztana, przebierającego zgrabnie i niecierpliwie nóżkami pod wąsatym Gejzą.

Stadion — przystrojony flagami o barwach narodowych, wypełniony był po brzegi widzami. Biegi Honwedów uświetnił swoją obecnością regent. Podniecenie na widowni rosło także z uwagi na jesienne rozgrywki w Europie. Północny sąsiad borykał się z germańską ekspansją — a Węgry — tęsknie spozierały na utracone komitaty korony. Gorączkę podnosiły podawane z dużego megafonu komunikaty prasowe, o słusznych postulatach stworzenia wspólnej granicy z bratankiem polskim, czemu rozpanoszony faszyzm starał się przeciwstawiać.

Marszem Rakoczego otwarto zawody. W pierwszym szeregu kłusował kasztan, prowadzony świetnie przez wąsatego wachmistrza. Marika nie mogła powstrzymać się od zachwytu. Jak sarna przeskoczyła chyżo barierę i znalazła się na torze.

— Gdzie pędzisz? — dolatywał Mariki niski alt ciotki. Dziewczyna nie słyszała nawoływań służby wyścigowej, zepchnięta siłą — przymościła się w rogu — niedaleko mety.

Padł strzał.

Szereg rwących naprzód koni — trzymał się kilka chwil równiutkim sznurkiem, lecz rychło kasztan jął wysuwać się na czoło. Z początku o głowę, następnie o szyję, dalej o tułów — a po pierwszym okrążeniu toru — o cały korpus swej zgrabnej sylwetki wyprzedził nie mniej rączych i tęgich rywali. Marika mięła w ręku fartuszek, podniecona, rozpromieniona, cieszyła się tak, jakby sama uczestniczyła w gonitwie.

Gdzieś pośrodku drugiego okrążenia toru, kasztan biorąc z brawurą przeszkodę — wysadził Gejzę z siodła. Wachmistrz zarył no-

sem w piasek. W ułamku sekundy przegalopowała reszta koni nad nim — ścigając kasztana, który gnał naprzód, jak wicher, jak strzała — zyskując na chyżości z powodu utraty jeźdźca.

Marika drgnęła — nie tracąc jednak zimnej krwi i przytomności — jednym tchem znalazła się na torze i krótko gwizdnęła.

Kasztan zastrzygł uszami — zawrócił momentalnie — a podbiegając do dziewczyny — stanął, jak wryty. Parskając pianą — tulił głowę do ramienia Mariki.

Błyskawiczne dwa chwyty wystarczyły, by dziewczyna — zwinnie, jak kotka usadowiła się w siodle. Ściągając wodze — huraganem dopędzała resztę koni, które kończyły prawie drugie okrążenie, wyprzedzając kasztana z powodu wypadku.

Szlachetny rumak gnał z furią — wzbijając tumany kurzawy za sobą. Marika klepała kasztana po szyi — szepcąc z pasją:

— Prędzej! prędzej! Nie daj się! Nie było równego tobie biegacza na puszcie. Pokaż, co koń Huniadów znaczy. Marika ciebie prowadzi...

Kasztan — zdawał się rozumieć słowa swojej pani, gdyż rychło dopędził przeciwników. Cal po calu wyrównywał teraz straconą przewagę, zdobywając w szlachetnym wysiłku odległość. Z wysiłkiem, na jaki stać było konia, tej miary, co kasztan — rozpoczął walkę o pierwszeństwo z długim siwoszem, pokonując go — o chrapy, uzdę, grzywę, docierając strzemienia. Przy końcu trzeciego okrążenia zmógł przeciwnika o kopyto — a na ostatniej przeszkodzie, tuż u progu mety — na długość ogona — mijał przed siwoszem opuszczone wdół chorągiewki...

— — — — — — — — —

Huraganowym oklaskom — wtórował zachwyt widzów, wyrażany gromkiem: Elien! Elien! Wrzawa ogłuszyła wyczerpaną szaloną gonitwą Marikę. Trzymała się kurczowo szyi konia, nawet wtedy, gdy stanęła z kasztanem na wadze. Prawie omdlałą zsadziła ją z konia służba wyścigowa.

Sędziowie mieli teraz trudne zadanie. Nie ulegało wątpliwości, że nagrodę zdobył kasztan, gdyby nie to, iż w gonitwie zmienił jeźdźca, a w dodatku zamiast honweda — do mety przybyła dziewczyna. Przepisy nie uwzględniały udziału kobiet w gonitwie o nagrodę królewską.

Zdania były podzielone — wobec czego nie ogłaszano wyniku biegów. Tymczasem stadion wył i huczał, domagając się wśród ogólnego podniecenia nagrody dla konia i dziewczyny. Szalę przeważył głos regenta, stającego po stronie widzów.

Spokojnie wyrażał zdanie, że przecież koń nadrobił stracony czas — do mety doszedł z jeźdźcem. Jeśli zważyć wysiłek, którego dał oczywisty dowód dla zdobycia mety — powinien zdobyć nagrodę. Fakt, że jeźdźcem była niewiasta — podnosi walor biegu, jeśli zważyć okoliczności wśród których nastąpiła zmiana honweda. Za bystrość i przytomność — dziewczynie słusznie należy się nagroda.

Marikę obejmowała pierwsza ciotka. Nie posiadając się z radości, gdy dowiedziała się komu przyznano nagrodę — drżącym ze wzruszenia głosem powtarzała:

— Marika, Marika — skończyły się nasze troski...

— — — — — — — — — —

Przypływ gotówki — zmienił od razu tryb życia biedaków, gdyż Arpad — czytając w Csabie gazetę podczas wieczornych odwiedzin w karczmie, tak energicznie trącił w bok sąsiada, że ten zwalił się na ziemię — następnie wskakując na stół — wymachując wysoko trzymanym w ręku skrawkiem gazety — krzyczał z całych sił:

— Elien!!! Wina dla wszystkich, ja płacę! Moja Marika! Zuch dziewczyna.

W nocy wyjechać miał pociągiem do Pesztu, ale rządca podsunął auto. W stolicy zastał Isztwana, którego ściągnięto dla odbycia w kółku rodzinnym miłego pojednania, gdyż depesza zastała Arpada w tej chwili, gdy wsiadał do samochodu. Zdyszany pocztylion — nie wiedział, komu wpierw kłaniać się, czy ekonomowi, czy rządcy — gdyż fama głosiła o krezusowym skarbie Mariki.

Za wstawiennictwem pięknej Mariki — pismo pułkowe sprzed roku — zostało uwzględnione w Ministerstwie. Prośby Mariki i jej sława, otworzyły serca twardych generałów. Za zwrotem kosztów utrzymania i wyłożonej ceny kupna oddano kasztana, którego przyprowadził z koszar promieniejący różowymi policzkami Isztwan.

— Milutki — szczebiotała Marika — widzisz, jesteś zdrów, musiałeś nim zostać, woła ciebie Ojczyzna.

Przy tych słowach wręczyła bratu wezwanie do szeregów.

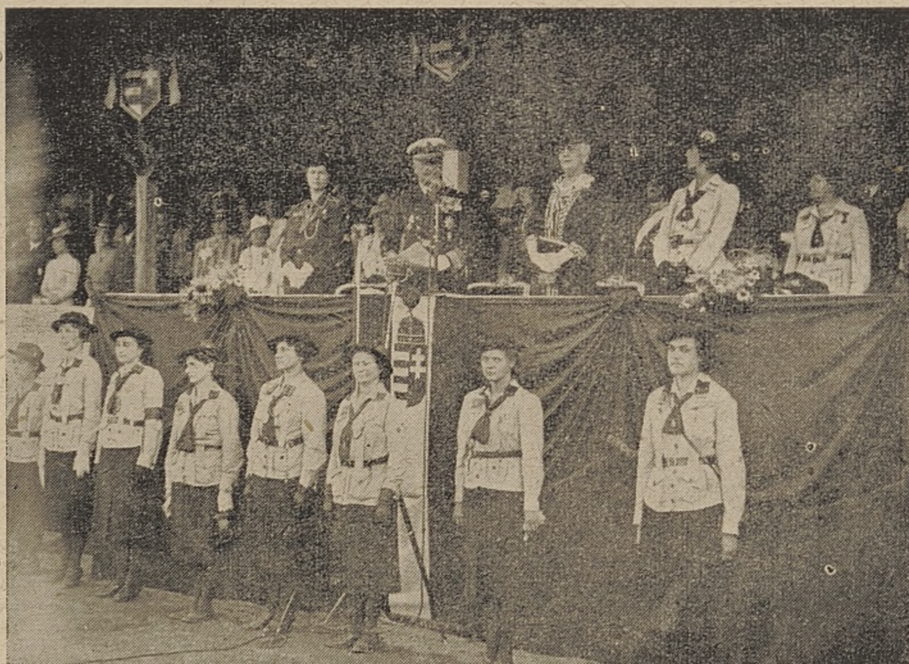
Stary Arpad, porwał rumaka i zgłosił się w 2 pułku Honwedów — na ochotnika, jak to — uzasadniał swoje postanowienie przed dyżurnym oficerem:

— Gdzie syn, tam i ojciec. Gnuśnieć nie chcę w domu.

Marika zgłosiła się do Czerwonego Krzyża, a ciotka, pozostawiona sama sobie, otworzyła przytułek dla starców.

Przy zajmowaniu Koszyc — Isztwan odznaczył się i zyskał awans na kaprala. Arpad natomiast trafiony podstępnie kulą pod Husztem — w ostatniej woli prosił o oddanie konia Marice.

— Wieczny odpoczynek, racz mu dać Panie — szeptały pobladłe usta Mariki, gdy Gejza przyprowadził rumaka. Cichą modlitwę poniósł daleko poszum wichru — hen — nad brzegi Kiereszu, hen — do serca puszty, a w Csabie — sygnaturka dzwoniła na Anioł Pański — za spokój bohaterów, co polegli w obronie granic północnych komitatów...



W Gödöllo na Węgrzech otwarto w obecności regenta Węgier admirała Horthy pierwsze Jamboree (zlot) dla dziewcząt.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Długas" Dziękujemy za nadesłanie zadania do „Chwili zastanowienia" i donosimy uprzejmie, że skorzystaliśmy z niego.

Łączymy serdeczne pozdrowienia.

# CHWILA ZASTANOWIENIA

METAMORFOZA

uł. F. Gałecki (członek War. Kl. Szar.).

Zmieniać w wyrazie górnym po jednej literze tak, by otrzymać wyraz dolny. W zmienianiu musimy zawsze otrzymać wyraz o innym znaczeniu.




ŁAMIGŁÓWKA

uł. „Góraleczka".

| | | | |
|---|---|---|---|
| | | | a |
| | | a | |
| | a | | |
| a | | | |

1. rzeka w Polsce. 2. pseudonim z Krajny (wspak). 3. imię żeńskie zdrobniałe. 4. miasto w Polsce.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książki.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 25 sierpnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 32 „Moich Powieści".

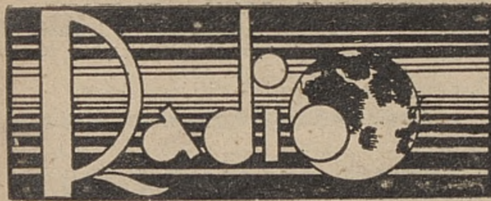
I. Konikówka. Pókiśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

II. Kwadrat magiczny:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| 15 | 6 | 14 | 21 | 9 |
| 2 | 4 | 25 | 10 | 24 |
| 23 | 19 | 13 | 7 | 3 |
| 8 | 16 | 1 | 22 | 18 |
| 17 | 20 | 12 | 5 | 11 |

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Miękus Mieczysław — Jarocin Pozn. Głuszkiewicz Maria — Ustrzyki Dolne, Berezowska Kazimiera — Stanisławów, Szklawek — Dębno, Franciszczakowa Wanda — Leszno, Waścińska Jadwiga — Rogoźno, Pietrzykówna Regina — Wolanów (rozwiązała Pani tylko jedno zadanie, a należy rozwiązywać oba).

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Miękusowi z Jarocina i Berezowskiej ze Stanisławowa.




**Niedziela, dnia 20 sierpnia 1939 r.**

7.00 Audycja poranna 9.00 Nabożeństwo 12.03 Poranek muzyczny 13.00 Wyjątki z Pism Józefa Piłsudskiego 13.15 Muzyka obiad. 14.45 „Czytamy Mickiewicza" aud. 12-ta 15.00 Aud. dal wsi 16.30 L. van Beethoven: Trio smyczkowe Es-dur — koncert 17.15 „Bułgaria" — felieton 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie — transm. z Bagateli 19.00 „Kamienie" — słuchowisko według M. Rodziewiczówny 19.35 Nowe nagranie słynnych artystów — koncert z płyt 21.15 „Na Łyczakowie" — wodewil w 3-ch aktach.

**Poniedziałek, dnia 21 sierpnia 1939 r.**

6.30 Audycja poranna 8.15 „Kupiec i handel morski" — opgadanka dla kupców 12.03 Audycja południowa 14.45 „Przygody dwóch chłopców z Zaolzia" — słuchowisko dla młodzieży 15.15 Muzyka popularna w wyk. zesp. H. Adamskiej 16.20 Recital śpiewaczy S. Benoni'ego 17.00 Muzyka taneczna 18.00 „Sławne koncerty: triumfy artystyczne Paderewskiego" — audycja muzyczna 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncert w wyk. Orkiestry Smyczkowej Zw. Muzyków Chrz. 21.45 „Polska między Wschodem a Zachodem" — „Polska a Zachód" 22.00 Muzyka taneczna z płyt.

**Wtorek, dnia 22 sierpnia 1939 r.**

6.30 Audycja poranna 8.15 „Uśmiechnij się" pogawędka 12.03 Audycja południowa 14.45 „Bohaterowie przestworzy" — „Zwycięstwo Challenge'u" — pogadanka dla młodzieży 15.00 Muzyka popularna 16.20 Polskie utwory fortepianowe w wyk. Stan. Chojeckiego (z Torunia) 17.00 Muzyka do tańca z płyt 18.00 Roman Palester: „Od Karpat do Bałtyku" — suita na tematy ludowe. 18.40 Utwory skrzypcowe w wyk. Alfreda Millera 19.00 Audycja dla robotników 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Giacomo Puccini: „Tosca" — opera w wyk. solistów chóru i orkiestry Opery Królewskiej w Rzymie (płyty).

**Środa, dnia 23 sierpnia 1939 r.**

6.30 Audycja poranna 8.15 Pogadanka turystyczna 12.03 Audycja południowa 14.45 „Nasz koncert" Co kto woli — audycja dla dzieci 15.15 Koncert popularny z Wilna 16.20 Recital śpiewaczy Heleny Karnickiej 16.50 C. O. P. przed 4.000 lat — pog. 17.00 Muzyka do tańca — transm. z cafe „Paradis" 18.00 Słynne symfonie — koncert z płyt 18.40 Echa mocy i chwały 18.50 Kamil Saint—Saens: Introdukcja i Rondo Capriccioso — koncert z płyt 19.00 „Upał" — wieczór fraszek w opr. St. Wasylewskiego 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy 20.10 Odczyt wojskowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncer tchopinowski w wyk. St. Szpinalskiego 21.40 „Książka i wiedza: „Historia powszechna" 22.00 Wiązanki wokalne — koncert rozrywkowy.

**Czwartek, dnia 24 sierpnia 1939 r.**

6.30 Audycja poranna 8.20 Pogadanka sportowa 12.03 Audycja południowa 14.45 Zagadka geograficzna — aud. dla młodzieży 15.05 Muzyka popularna ze Lwowa 16.20 Z Polskiej twórczości chóralnej — aud. w wyk. chóru 16.45 Fotografia amatorska — pogadanka 17.00 Muzyka do tańca (płyty) 18.00 Kwartety Beethovena 18.25 Polska muzyka fortepianowa w wyk. Władysławy Markiewiczówny (z Katowic) 19.00 „Wielkie włóczęgi morskie": „Wyspa rozpaczy" — fragment z pism Daniela Defoe'go 19.20 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Recital skrzypcowy Stan. Mikuszewskiego 21.30 „Niezwykły żywot redaktora O'Briena" — słuchowisko premiera z Poznania 22.05 Francuska muzyka nowoczesna — koncert 23.15 Koncert muzyki polskiej.

**Piątek, dnia 25 sierpnia 1939 r.**

6.30 Audycja poranna 8.15 Kłopoty i rady: „Mói mały idzie po raz pierwszy do szkoły" — dialog 12.03 Audycja południowa 14.45 Rozmowa techniką z młodzieżą 15.00 Koncert popularny z Wilna 16.20 Muzyka na dwa fortepiany z płyt 17.00 17.00 Muzyka do tańca 18.00 „Melodie słonecznej Hellady" — aud. muzyczna 18.30 Koncert kameralny z Krakowa 19.00 „Baśń, klechda, legenda": „Legenda o Merkurym Smoleńskim" w opr. J. Iwaszkiewicza 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Ilustracje muzyczne do utworów scenicznych — audycja poświęcona muzyce polskiej 22.35 Jan Brahms: Sonata na klarnet i fotepian op. 120 — koncert z Łodzi.

**Sobota, dnia 26 sierpnia 1939 r.**

6.30 Audycja poranna 8.15 Z mikrofonem przez Polskę — reportaż z uzdrowisk podhalańskich 12.03 Audycja południowa 14.45 Teatr Wyobraźni dla dzieci: „Słowik" według bajki Andersena 15.15 Muzyka popularna z Katowic 16.20 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana 16.50 C.O.P. przed 4.000 lat — pogadanka 17.00 Muzyka do tańca — transm. z Café-Clubu 18.00 Echa mocy i chwały 18.10 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 19.00 „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz" — wesoła powieść radiowa: „Pluton siedmiu wzgórz" 19.30 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 Z kapelą i ze śpiewem przez Śląsk 20.25 Audycja dla wsi 21.02 Recital śpiewaczy Beniamino Gigli — transmisja ze Szwajcarii 21.35 Muzyka salonowa z płyt 21.50 D. C. transmisja ze Szwajcarii — recital śpiewaczy Beniamino Gigli 22.20 Muzyka taneczna z płyt 23.20 Muzyka taneczna z Café „Paradis".




## INTERES

Żebrak: — Czy pani nie ma jakichś starych bucików?
Pani: — Przecież macie na nogach jeszcze całkiem nowe.
Żebrak: — Właśnie, i to mi psuje cały interes.

## ZROZUMIELI SIĘ

— Panie aptekarzu, proszę o jakieś lekarstwo na tasiemca.
— Dla dorosłego, czy dla dziecka.
— Ba! Czy mogę określić wiek tego robaka?

## STAN FAKTYCZNY

Znany z potężnej tuszy Jaculewicz siedzi w kawiarni. Jakiś jegomość, siedzący przy sąsiednim stoliku, pochyla się ku niemu i zapytuje:
— Przepraszam, czy nie zauważył pan przypadkiem mojego kapelusza?
— Pan miał sztywny kapelusz?
— Nie, miękki pilśniowy...
— To nie wiem... Ja siedzę na sztywnym!

## DZIEŃ I NOC

— Mając tyle długów śpisz w nocy spokojnie?
— Chyba. Wierzyciele zjawiają się tylko za dnia.

## SOLIDNY MĄŻ

Mąż: — Byliśmy w sklepie blisko 2 godziny i mimo to zapomniałaś jeszcze o jakimś sprawunku.
Żona: — Nic nie zapomniałam!
— Mąż: — A ja ci mówię, że zapomniałaś.
Żona: — A co takiego?
Mąż: — Tego nie wiem.
Żona: — Więc po czym wnioskujesz, że zapomniałam?
Mąż: — A bo zostało mi jeszcze w portmonetce 5 złotych.

## PERSPEKTYWY

— Czemuś taki rad?
— Znów pokłóciłem się z żoną...
— Więc cóż w tym wesołego?
— Ilekroć pokłócę się z żoną, odkładam do skarbonki pięć złotych.
— No i?...
— Nie rozumiesz? Za rok powinienem mieć odłożony milion.

## POCHODZENIE

Panna Hela ślęczy nad artykułem w redakcji.
— Słuchajcie — zwraca się do kolegów. — Jak się pisze zabójstwo?
— Przez „u" zwyczajne — odpowiadają z całą powagą koledzy. Po chwili jednak, widząc, że koleżanka wzięła to za dobrą monetę, ktoś dorzuca:
— Pochodzi od słowa „bujać"...

## W SALONIE

— Wiesz Dyzio się ożenił! Co to za temperament! To po prostu Wezuwiusz.
— Dziękuję za takiego męża, co raz na sto lat wybucha!

## HANDEL

Kupiec: — To nie ładnie proszę pani. U mnie kupuje pani na kredyt, a u konkurenta za gotówkę.
Pani: — Tak, ale za to kupuję u pana znacznie częściej.

## BOI SIĘ POWROTU ŻONY

— Nie mogę znieść szumu śmigła samolotu.
— Czy jesteś taki nerwowy?
— Nie, ale moja żona uciekła nie dawno z pewnym lotnikiem i ja ciągle obawiam się, aby nie powróciła.

## NOWE WYRAŻENIE

— Córka pani, co to i pali i zna się na sportach, jakoś sobie nie wytenisowała w lecie męża, ani nie wygolfowała.
— Mała szkoda. Ona go sobie w zimie przy czarnej kawie na pewno wypapierosuje.

## OPŁACI SIĘ

Wobec zapowiedzianej podwyżki cen biletów tramwajowych paryżanie masowo wykupują na zapas abonamenty i bilety okresowe.
Wielki paryski potentat finansowy telefonuje do swego agenta giełdowego:
— Sprzedać natychmiast cały portfel akcji kopalń złota i za uzyskaną sumę kupić abonamenty tramwajowe.





Namiot, który kurczy się na deszczu.


PRZEDPŁATA: już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedzialny: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.